

razem

mlodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y.M.C.A. we FRANCJI

ROK 2.

1-15 CZERWCA 1945.

NR. 10-11 (18-19)

Andrzej BOBKOWSKI.

Zamiary i osiągnięcia

Powierzchniowa nawet analiza myśli i uczuć współczesnego człowieka — niezależnie od poziomu jego wykształcenia — pozwala już dziś niewątpliwie dostrzec, że człowiek ten czuje się przede wszystkim zabłąkanym. Uczucie zabłąkania, wyrażające się w uporczywym i dominującym nad innymi pytaniem «Do czego doszliśmy?» powraca tym uporeczywiej, im silniejszą jest chęć zrozumienia tego co się dzieje, im bardziej przemożną staje się konieczność nadania jakiejś logicznej ciągłości; powodzi oderwanych faktów.

Nie mogąc tego uczynić, czując się coraz częściej bezsilnym gdy chodzi o stworzenie sobie pewnej myśli, na której mógłby się on oprzeć i określić punkt, do jakiego doszliśmy, człowiek współczesny przestaje myśleć. Każdy sąd, każda opinia stają się coraz bardziej tylko pewnym wyrazem chwili, strzępem jakiejś bliżej nieznanego całości. Fragment w dziedzinie myśli zaczyna obowiązywać wszędzie, krótkoterminowość wszelkich prawd staje się regułą, wreszcie płynność wszystkiego wygodną wymówką. Rozum, nie mogąc odnaleźć żadnej idei przewodniej, ogranicza się do zwykłego notowania faktów.

Wzrasta jednak świadomość zabłąkania, wzrasta się gorycz, poczucie zawodu i w końcu rezygnacja. Wiara w nieuniknioną zjawisk, fatalizm jako wyraz pewnego systemu myślowego u coraz większej ilości ludzi, a zarazem jako dowód alarmującej bezsilności rozumu w zetknięciu z najżywoźniejszymi zagadnieniami epoki, zaczyna podkopywać intelekt niemal każdego. Człowiek współczesny nie rozumie i poddaje się. Rośnie jednak rozczarowanie, nieporozumienie i skłonność do akceptowania wszystkiego, co przez swą krańcowość, bezwzględny dogmatyzm takiej czy innej ciasnej doktryny, pozwala na uproszczone rozwiązanie skomplikowanych zagadnień.

Człowiek epoki dzisiejszej — jak może żaden dotąd — chciałby wierzyć. Lecz nie mogąc odnaleźć sensu w tym wszystkim, co go otacza, nie mogąc pogodzić rzeczywistości z obrazem świata, jaki w nim wytworzyło najskromniejsze choćby wykształcenie, oparte na ideałach zawsze głoszonych i ciągle deptanych, zamyka oczy. Nie wierząc w nic, słucha najchętniej obietnic realizowanych przy użyciu mało obiecujących środków.

Mając jeszcze zawsze w pamięci kierunek, w jakim wyruszył wspólnie z innymi, podtrzymywany w przekonaniu o jego słuszności, doszedł on do punktu, w którym widzi, że stracił ślad. Tymczasem dalsza wędrówka, już na ślepo, siłą rozpędu, bez rozpoznania, grozi zejściem na manowce. Tymbardziej gdy ilość fałszywych drogowskazów mnoży się z dnia na dzień.

Trudność odpowiedzi na najprostsze pytania, doszukiwanie się sensu w tych wszystkich oderwanych i bijących w nas codziennie zdarzeniach, stają się niemożliwe bez zrozumienia ogólnego kierunku, w jakim niespostrzeżenie poszedł już świat oddawna i w jakim coraz wyraźniej idzie ostatnio.

Będąc spadkobiercami 19-go wieku, który nauczył nas przede wszystkim optymizmu i pewności siebie, który dał nam jako podstawę zapas wiary w naszą kulturę, natchnął szlachetnymi zamiarami, nie umiemy dziś lub nie chcemy przyznać się do częściowego chociażby bankructwa. Patrząc poprzez barwne szkieleta wielkich zamiarów na nikłe, gdy chodzi o rozwój człowieka, wyniki, gubimy się w zawitych dociekaniach. Skutki zajmują w nich miejsce przyczyn i odwrotnie. Tymczasem rozdział między wyidealizowanym obrazem życia a rzeczywistością, stale powiększa się.

Od czasu bowiem, gdy dumny Ernest Renan powiedział, iż wielkie panowanie ducha nie rozpocznie się



Cz 31892/1945/10-11

1604 c 1946

wcześniej, aniżeli wtedy, gdy świat materii ulegnie całkowicie człowiekowi, wiele zmieniło się. Wiemy dziś, że dzięki nauce i technice człowiek doszedł do punktu, w którym wolno mu już powiedzieć, iż opanował materię. Czy jednak są oznaki, że zapowiadane niemal jak pewnik przez Renan'a panowanie ducha może się zacząć? Widzimy, że nie. Widzimy, że to wszystko, co miało pierwotnie doprowadzić świat do rozkwitu, grozi mu upadkiem.

Wielkie wytyczne, szlachetne wskazania uległy zniekształceniu. I dziś nie ulega już wątpliwości, że tradycyjna kultura nie tylko Zachodu, ale całego globu ziemskiego narażona jest na zniszczenie. Jest rzeczą jasną i nie wiadomo, czy coś zdoła zmienić ten fakt, że środek ciężkości obecnych kultur, umieszczony dotąd w sferze irracjonalnej, uczuciowej i alogicznej, znajduje się już dziś gdzie indziej, aniżeli za czasów, w których te kultury rozwinęły się. Akcent, spoczywający dotąd na tradycji, religii, przywiązaniu do przekazywanego z pokolenia na pokolenie rzemiosła itp. przesunął się z tych pierwiastków niematerialnych na wyłącznie uchwytnie. Tylko to, co jest do tego stopnia osiągalne dla wszystkich, iż wydaje się o c z y w i s t y m najprostszemu człowiekowi, może liczyć dziś na powodzenie i przyjęcie bez zastrzeżeń.

Stąd tak szybki rozwój techniki, rozrost i popularyzacja wszelkiego rodzaju idei radykalnych z totalizmem, włącznie. Niema w nich nic niezrozumiałego. To też właśnie warstwy społeczne i ludy najmniej kulturalne rozumieją technikę najbardziej bezpośrednio i najszybciej, odrzucając przy jej pomocy zbędny balast duchowy. Stąd powodzenie i przemiana niemal na religię prymitywnych ideologii. Czym bardziej bowiem są one prostaczkimi, tym łatwiej zakorzeniają się w nieobciążonym kulturalnie narodzie czy warstwie. To, co muszą one gdzie indziej podzielić z nauką, sztuką i filozofią, tego żądają one tu tylko dla siebie. I gdy na Zachodzie dawna kultura opanowuje jeszcze częściowo wzrost liczby coraz mniej kulturalnych mas, gdy opanowuje technikę o tyle, że jest ona jej pochodną, na wschodzie zmiała ona z powierzchni całą starą kulturę; tam, gdzie wkracza technika, a z nią nowy światopogląd, prawie żadna forma życia z poprzedniej epoki nie może się ostać. Powstaje nowy świat, nowy człowiek.

Ludzka odmiana wyspecjalizowanego owada staje się reprezentacyjnym typem nowego świata. Cechuje go absolutna nieumiejętność poznawania związków istniejących pomiędzy rzeczami i zdrzeniami bardzo oddalonymi od siebie w przestrzeni lub czasie i pozornie niezwiązanymi ze sobą. Pewność siebie, wyższość wypływająca z posługiwania się maszyną, jest dalszą cechą tego człowieka-termita, mającego za zadanie spełnianie w olbrzymim kolektywie, jakim staje się nowy świat, tylko jednej określonej funkcji.

Z dwóch warunków, postawionych przez Comte'a, to jest «Porządku» lub «Postępu», człowiek ten wybrał, śladem owada, porządek, identyfikując go z postępem. Pojęcie postępu, jako dzieło tylko inicjatywy indywidualnej, wykluczające nieraz porządek, zostało odrzucone. Coraz częściej zmiany, które uważa on za postęp, nie są już niczym innym, jak tylko pomnażaniem lub przerostem cech pierwotnie nabytych. Groźba dojścia do absurdu w obrębie zawsze tego samego, zarysowuje się wyraźnie. Technika niszczenia może być tu wskazówką. Myśl jednostki, nieskrępowana i wolna, zostaje przekreślona jako czynnik roz-

kładu niebezpieczny dla porządku zbiorowości. Gotowe odpowiedzi uprzedzają nigdy nie zadawane pytania.

Pobieżna tylko charakterystyka widocznych już oznak pozwala dostrzec, że wyłaniający się siłą faktu z jednostronnego zrozumienia wielkich idei świat jest po prostu pewną odmianą totalizmu. Widzimy, że totalizm jako wynik fałszywie pojętej idei postępu, tym bardziej bezkompromisowy, im niższym jest stopień bagażu kulturalnego podlegającej mu zbiorowości, nie traci na sile. W takiej czy innej formie staje się on nadal religią mas na całym świecie jako najbardziej wychytana i zrozumiała dla każdego koncepcja ideologiczna. I bardzo być może, że wskutek niedostrzegania tego logicznego zresztą następstwa rozwoju wypadków, tu kryje się najważniejsza przyczyna naszego zablakania i nieporozumienia z rzeczywistością. Nowy świat i nowy człowiek tworzą się z niesłabnącą energią w oparciu o ideologię, której wypowiedzieli walkę w imię lepszej przyszłości, w imię najświetniejszych ideałów dziewiętnastego wieku. Aksjomat Huxley'a' iż obrona demokracji przed faszyzmem pociąga za sobą nieuniknienie przemianę demokracji na faszyzm okazuje się słusznym. Dokąd nie uświadomimy sobie w pełni prawdziwości tego napozór niewiarygodnego zjawiska, nie zrozumieimy przyczyn wyłaniających się coraz to nowych komplikacji; nie zrozumiemy rozdzwieku pomiędzy zamierzeniami a osiągnięciami, który odczuwamy coraz boleśniej w postaci rosnącego chaosu, popychającego świat skolei w kierunku szukania zbawienia wśród skrajnych i totalistycznych doktryn. Przykład Francji, przykład Anglii i programu Labour Party są sygnałami.

Dochodzimy do przełomu, w którym absolutnie jasne sprecyzowanie celów, zasad i formy życia, jakie mamy zamiar wytworzyć w przyszłości staje się nieuniknionym jeżeli nie chcemy, by cały wysiłek poszedł na marne, a wojna i śmierć milionów ludzi stały się potwornym żartem. Musi się zrozumieć, że scholastyczne dyskusje na temat takich czy innych pojęć nie prowadzą do niczego, bo jeszcze trochę, a bieg wypadków sam zadecyduje o takich czy innych określeniach. Nie może być wyjścia z tego błędnego koła, jak tylko po linii zdecydowanego i głośnego powtórzenia słusnych Haseł, na które czeka tyle milionów i w które wielu przestało już wierzyć. Zdefiniowanie pojęć takich, jak wolność, niepodległość, demokracja i szereg innych powinniśmy się stać dziś równie doniosłym, jak było niegdyś ogłoszenie Deklaracji Praw Człowieka. Nie odnajdziemy zgubionej ścieżki tak długo, jak długo nie uznamy, iż konieczną się stała rewaloryzacja zawsze niezmiennych wartości; że wiele rzeczy, będących dotąd celem, jest tylko środkiem a postęp to nie tylko organizacja, porządek, ilość na godzinę lub na kilometr, lecz przede wszystkim wartość. Wartość i gatunek człowieka jako j e d n o s t k i.

Myśli

Wszystko można nabyć w samotności prócz charakteru.

Stendhal.

Życie nikomu nieużyteczne jest zgrzyotą.

Vic'or Hugo.

Są ludzie, którzy się sami myją, gdy widzą, że inni są brudni.

Hebbel.

Okazywany człowiekowi szacunek czyni go lepszym.

Kazimierz Te'majer.

DE PROFUNDIS

Wobec słów, co przedostają się z Kraju zatarte, prze-trzebione przez cenzurę, lub wsunięte za pazuchę żołnierza idącego na zieloną... stoi się jak wobec frag-mentów bezcennego fresku, w skupionym wysiłku zre-konstruowania całości.

Nie materialne fragmenty kształtów i barw układają się przed nami, a strzępy myśli i uczuć, znaczące tęt-no serca, pracy mózgu Polski. Obraz krwią malowany wgryza się w sumienie, jak twarz Chrystusa w chustę Weroniki.

Słowa stamtąd biegają ku nam jak głos więźnia ku wolnym przestrzeniom. Nam wolno myśleć i czuć; dla-tego może myśl nasza nie rozżarzona ogniem wspólnej męki, miast wiązać się w snop płomieni, opada łepym zmęceniem tęsknoty. Przekreśliły nietwórczy smutek emigranckiego życia. Na to mówią do nas Polacy z kraju — choć słowo, myśl każda tam śmiercią grozi — abyśmy szepł ich zduszony natężyli w głos dosłyszalny dla świata.

Wołanie ich dochodzi coraz rzadziej, jak uderzenia o przewód żelazny górnika zasypanego w kopalni. Wy-rywa się z najbliższych warstw ducha, co w wielolet-nim codziennym dialogu ze śmiercią odrzucił rzeczy błahe, jak np. taniec Chochota porachunków klaso-wych podtrzymywanych przez wybitnych przedstawicie-li partji politycznych, którzy wyjechali, nie zdążywszy dostrzec dziwnych pomników wzniesionych jesienią 1939 r. na rynkach wszystkich powiatowych miast Wielko-polski, potem na ulicach Warszawy, w więzieniach ca-łego kraju. Jak polskie krzyże przydrożne, wryły się w pamięć na zawsze spletaną masą leżące ciała księ-ży, robotników, chłopów i ziemian — ciągnące ku tym miejscom i pobliskim cmentarzom milczące, skupione procesje — stosy kwiatów — jak wici, rozmigotany nad mogiłami w wieczór zaduszny blask świeczek, co w pozbawionym światła kraju jakoś wyrastały z pod ziemi...

«Wróciłem dzisiaj do mej zrujnowanej wiejskiej sie-dziby, jak zwierz szczuty, chcący się zaszyć głęboko» — pisze ktoś z kraju. «Odsunięty od wszelkiego ży-cia, nie wiem co się na świecie dzieje. Dochodzą mnie tylko krzyk i szcęk broni. W tym hałasie nie ma prawie miejsca na indywidualną myśl ludzką — a prze-konałem się wielokrotnie, że nie tylko dla t. zw. in-teligentów, ale i dla zwykłych prostaczków wyjaśnie-nie sobie sensu teraźniejszości, znaczenia przeszłości i możliwości przyszłości, jest nie mniej ważne od chle-ba, którego brakuje, od tak trudnego ratowania życia wśród morza płomieni i gradu pocisków, od znalezie-nia przytułku, gdy się jest pędzonym w głodzie, chłod-zie i niespodziewanej nędzy w nieznanym kierunku...»

Oto ramy, w których pracuje myśl polska.

I. « Problem Odrodzenia ».

Nadeszły rozważania pod tym tytułem jednego z pi-sarzy z kraju, poświęcone pamięci Bolesława Miciń-skiego, którego myśl pozostała żywym węzłem sieci serdecznej, łączącej polskich artystów.

Autorów wymieniać nie wolno. Myślenie nawet na abstrakcyjne, filozoficzne tematy jest tam wzbronio-ne. To też najintensywniej dochodzi z Polski wołanie o wolność ducha ludzkiego.

Tematem pracy wymienionej są przegląd i ocena wartości, którym ludzkość służy, spowodowane szu-kaniem dla przyszłości doskonalszych podstaw.

Autor stwierdza, że dla epoki, która minęła, była charakterystyczną przewaga człowieka techniki, czło-wieka zewnętrznego. Kultura była czymś niezwiązanym z człowiekiem, dodatkiem, ozdobą, często zbytkiem. Kultura, jako sposób życia, jako cały człowiek — a zwłaszcza jako realizacja określonego świata wartoś-ci, nie istniała w tych czasach pośpiechu i powierzch-owności.

Bo wartością, jakiej człowiek wczorajszy przede wszystkim hołdował, która stała się kształtującą go formą, były nauki matematyczno - przyrodnicze. One wypełniły go wiarą, że rozwój ludzkości jest uwarun-kowany ogólnym prawem ewolucji i optymistycznym przeświadczeniem, że ciąg dziejów automatycznie po-prowadzi ją ku coraz dalszym stopniom rozwoju, że ludzkie atrybuty mogą sięgnąć atrybutów Boskich. Te wierzenia wyolbrzymiały wartość zewnętrznych doko-nań. Stąd kult techniki, wynalazków, gigantyzmu.

W rzeczywistości człowiek twórca stawał się niewol-nikiem swych narzędzi. Wartość człowieka w służbie maszyny spadała do cząstki, ułamka, kropli. Mierni-kiem jej była zdolność do maksymalnego wysiłku w ciągłej walce z przyrodą. Podniętą pracy wyścig, re-kord, rywalizacja, reklama — a pieniądź widomym znakiem triumfu we współzawodnictwie.

W świetle posuwających się naprzód dociekań top-niały jednak pewniki. W miarę kruszenia naukowego dogmatu, irracjonalizm zaczął przenikać wszystkie dziedziny. Podstawa jego bierna nie walczyła o żaden świat wartości, bo każdy był zakwestionowany: prze-ciwienstwa i sprzeczności, ślepe siły wszelkich postaci były dla niego jedynymi przyczynami bytu. Stąd scep-tycyzm, rodzący najróżnorodniejsze postawy życiowe, od uciśniania woli życia do niezahamowanego używania, od agnostycyzmu do metafizyki potęgi, operującej mi-tami, na której zaszczepiają się doktryny społeczne, jak hitleryzm i wszelkie formy ustrojów, oparte na kulcie jednostki zbawczej.

Doktryny wyżej omówione, choć sprzeczne pozornie, prowadziły jednak do wspólnej koncepcji człowieka, ja-ko czegoś biernego, uwarunkowanego przez stosunki ekonomiczne, lub dane przyrody. Kultura w ustrojach opartych na takich doktrynach prowadziła do ideokra-tyzmu. Tyrania różnych ideologii rozbudowała instytu-cjonalizm i formalizm i włączała weń ludzkość.

Krytyczna rozprawa z wartościami, które okazały się złudne, zaostrza się w okresie kataklizmu wspieranego w okrucieństwie wszystkim, na co spoglądaliśmy dumnie jako na dorobek naszej cywilizacji. Zwrot do wiary w wartość życia ludzkiego, zwrot do człowieka wolnego jest jedyną nadzieją ocalenia moralnego i odnowienia świata.

Podkreślając za Jakubisiakiem pojęcie indywiduum jako jedynej prawdziwej i istotnej rzeczywistości ludz-kiej i odrzucając z nim psychologizm i socjologizm, uj-mujące człowieka w tym jedynie co wspólne, niejako edeterminowe, więc błędne, rzuca autor mimochodem ciekawe pytanie: «czy rzecz wiedzy o człowieku ma być jak zawsze poprzez wieki naczelnym zadaniem sztu-

ki?» Pytanie to nasuwa tyle problemów, że choć w ramach omawianej pracy nie jest dalej rozwinięte, warto je zanotować. Prowadzi autora do niego stwierdzenie, że człowiek jako jednostka i decydująca jego rola we wszechświecie jest problemem, do głębi którego raczej sztuka niż myśl filozoficzna dotarła.

A problem to zasadniczy: nie wyniki działalności, nie włączenie w proces przekształcania rzeczywistości stanowi o wartości człowieka, lecz jego konstrukcja, tworząca się w wysiłku poznania sensu własnego życia i oparcia działalności na trwałych podstawach moralnych.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że proces życia wewnętrznego jest udziałem pewnego tylko strukturalnego typu ludzi. Jednakże psychologia naukowa stwierdziła, różnie ją komentując, powszechność okresu tragicznego przeżywania siebie. Ten kryzys zdaje się być wynikiem wstrząsu psychicznego pierwszych zetknięć jednostki z siłami wrogimi, stawiającymi opór dążeniom życia, z śmiercią, z łatwym triumfem niesprawiedliwości i trudem wszystkiego co dobre. W większości wypadków ślady tego przeżycia zacierają się, życie wewnętrzne zanika, mniej lub więcej przystosowując się do utartych form. Człowiek zewnętrzny bierze górę. Lecz w silniejszej i wytrwalszej jednostce ferment młodzieńczy przeradza się w stałe dążenie do szukania przewyższających naturę wartości i staje się początkiem właściwych narodzin człowieka. Przetwarza się wówczas cały system jego życia: dojrzewa w nim poznanie, że choć jest w pewnej mierze miarą rzeczy, skoro ma możność działać, przekształcać je dowolnie — miara absolutnego Dobra, Prawdy i Miłości leży poza nim. Rodzi się w nim nie jakiś rewolucyjny pogląd na rzeczy — lecz świadomość stosunku skończonego (człowieka) do nieskończonego (Dobra, Prawdy, Miłości), stwierdzenie, że to czym jest sam, nie zadowalnia go. Rozpoczyna się dążenie skończonego ku nieskończonemu.

Jedynie ta konieczność wewnętrzna odróżnia człowieka od świata organicznego, jest niejako znakiem człowieczeństwa, a w sensie ogólnym znakiem prawdziwego humanizmu. Humanum, ludzkie, jest to w nas, co zdolne wznosić się ponad naturę, instynkt, ku transcendentnym wartościom. Stąd pracę odnowienia kultury świata poprzez osobowe życie ludzkie nazywa autor **h u m a n i z m e m m e t a f i z y c z n y m**.

Tym dążeniom ku nieskończonemu charakteryzuje tak dyskutowane pojęcie **o s o b o w o ś c i**. Dla

niego osobowość nie jest czymś danym naturze ludzkiej, lecz wartością, do której się człowiek musi dążyć. Przyłącza się do określenia Grzegorzewskiej: «osobowość jest szczytowym wynikiem pracy człowieka nad sobą».

Powołanym do tej pracy jest każdy, bo każdy staje wobec wyboru: czy trwać w bezwładnym sceptyźmie, w złym życiu, zatonać w mitologicznym irracjonalizmie, czy też zwyciężyć w sobie kompromisowość — i ruszyć zdecydowanie w twardą drogę ku prawdzie, ku wypełnieniu braku i niedoskonałości życia, czymś trwałym. Poczuć niepowtarzalności naszego życia i odpowiedzialności za nie pobudza do decyzji w sensie aktu woli podjęcia walki z bezwładem własnej natury.

Wysilek ten nie prowadzi do ułatwienia życia, przeciwnie. Jest trudem, męką, niepewnością, troską, lecz staje się musiem wewnętrznym, żywiołem, wzrastającym w miarę realizacji, co wynika z klimatu tej całej sprawy, z ciągłego pokonywania oporów, z faktu, że nieskończoność z natury swojej jest ponad miarę.

Proces tworzenia własnej osobowości jest całym ciągłym procesem walki, heroizmem trwania poza koniunkturą i powierzchownością życia poza formami negacji, relatywizmu i pesymizmu.

Najwyższą formą humanizmu metafizycznego jest humanizm chrześcijański, wyrażający się w osobowości Chrystusa i w symbolu Krzyża. Jest to wiara w Boską kreację świata. Człowiek na wzór i podobieństwo Boga stworzony ma możność wolą swoją ten wzór w sobie realizować. Chrystianizm nakłada obowiązek konstrukcji osobowej, bez której wiara martwieje w oschłość doktryny; domaga się realizacji osobowości przez akty działania, poświęcenie, ofiarę i miłość — lecz miłość, która z Erosa przekształca się w Caritas.

Nie siła i potęga jest cnotą, lecz ubóstwo i wyrzeczenie, nie miara lecz sprawiedliwość, nie wróg lecz bliźni, nie duma i pycha lecz pokora.

Chrystus na krzyżu uosabia najwyższą tragedię ludzkości, lecz jednocześnie zwycięstwo najwyższych wartości. Gdy wzór ten obniża się do roli sprawy prywatnej, gdy nie reguluje wszystkich międzyludzkich stosunków, dochodzi się do upadku i całkowitego pohańbienia człowieczeństwa, którego przykładem są czasy współczesne.

Dobrem jest to, co jednoczy ludzi i siebie innym udziela. Odrodzenie zbiorowości dokonać się może tylko poprzez tak pojęte osobowe życie jej członków.

Z poezji podziemnej

TESTAMENT POLEGŁYCH

*Nie odeszliśmy od was, by grały fanfary,
Nie potrzebne nam słowa w wiecowych wspomnieniach,
Nie polegliśmy po to, by zbawiać świat stary
I by kłamstwo wyrosło na prawdzie cierpienia.*

*Nie chcemy być tematem kwietnych publikacji,
Ani sporów zażarłych cennym argumentem,
I niech nikt się nie waży dochodzić swą racji
Przez to wszystko, co w śmierci żołnierskiej jest święte.*

*Nie ma różnic klasowych pod darnią zieloną,
Żaden przedział społeczny nas więcej nie dzieli —
Więc szanujcie tę równość. Gdy światła zapłoną
Niech nikt się naszych cieniów dzielić nie ośmieli.*

*N'e legendą, lecz pracą i powszednim chlebem
Trzeba głodnych nasycić i uczyć ich synów,
Aby złoto pszeniczne szumiło pod niebem,
By więcej było zboża, niż liści wawrzynu.*

*Budujcie nową Polskę. Szanujcie Jej imię.
Trzeba tak ją umocnić wiarą i miłością,
Aby kresu dobiegły wędrowni pielgrzymie,
By nikt snu nie zakłócał popróchniałym kłósciom.*

*A gdy dzieci zapomną, że mieszkały w schronach,
Że widziały dni straszne, ponure i krwawe —
Niechaj tylko to jedno pamiętają o nas:
Żeśmy padli za wolność, aby była prawem.*

Gdy niebo surowe i zimne w grób się nad nami zamyka,
Gdy się rozwinął nad ziemią bicz zasłużonej kary
Zastygnąć tym, którzy giną, w godnych tych czasów pomnikach
A żywym unieść sztandary.

Za stratowanych wrześnie, pełne ufności dusze,
Które pod czołgiem i bombą wieczne zdobyły życie,
Jakie modlitwy niebo tak zagniewane porusza,
Uproszą o wizję zwycięstw?

Za Kolosseum nowe — braci w męczeńskich obozach,
Tych co to w błazna czapce wciągani na rusztowanie

Giną pod kijem oprawcy — w jakich zamierać grozach
Ma modlitewne wołanie?

Za najmocniejsze serca, myśli i ducha stróży,
Którzy w drukarniach tajnych głoszą swe prawo do woli
I sprawią, że świat sprawiedliwy znów się z odmětów wynurzy —
Jakże modliwa dziś boli...

To są błagania prawdziwe. Więc się otworzą bramy.
Wieczności dla tych, co zmarli, i dla nas co jedną stopą
Codzień o śmierć zawadzając jak jutra pątnicy stąpamy
Przez Polskę i Europę.

BRONISŁAW KAMIŃSKI

W KRAINIE ZBRODNI I ŚMIERCI (FRAGMENTY)

Pociąg, którym jechaliśmy, miał szczelnie zastłonięte okna. Tylko przez szpary widać było zmienność pejzażu. Na jednej ze stacyj jakaś kobieta spytała strażującego esesmana — kto jedzie, kogo eskortujecie? — Świnie polskie, polskich bandytów. Najwyższy czas, żeby na świecie zrobić porządek. — Kobieta przytaknęła głową. Świst lokomotywy i pociąg odjechał.

Pod Berlinem jest osiedle o nazwie Sachsenhausen. Tutaj stanęliśmy. Otworzono wagony i spadły na nas brutalne okrzyki esesmanów:

— Raus! Loos!

Szczęk karabinów, odgłosy uderzeń kolbami w plecy i przestrach.

Rzeczywistość zaczęła uciekać z pod nóg. Zaczęła nas ogarniać świadomość koszmaru, koszmaru tak tragicznie bolesnego, że aż nierzeczywistego. I rzeczywiście to co nas czekało przekraczało fantazję i przerastało rzeczywistość.

Weszliśmy na teren obozu. Przeszliśmy przez ogromny plac apelowy ku barakom, oddzielnym drutem kolczastym od reszty obozu, ku tak zwanej kwarantannie. Tutaj ustawieni w piątki czekaliśmy na zdarzenia.

Oficerowie SS przeglądali nasze szeregi: tu i ówdzie padło jakieś pytanie, uderzenie w twarz i śmiech. Opodał odkryto księdza, który pokryjomu odmawiał różaniec. Kazano mu wystąpić z szeregu i poprostu kazano mu zjeść różaniec. Nieszczęśnik płakał i połykał ziarnko po ziarnku, a otaczający go esesmani pokładali się poprostu ze śmiechu. Gdy nie było już śladu po różańcu, delikwent otrzymał parę uderzeń i kopniaków, po czym kazano mu z powrotem wstąpić do szeregu. Straciłem go potem z oczu. Gdzie indziej odkryto żyda.

Wywołano go przed szeregi.

— Polacy! To są ci, za których cierpicie — krzyknął jeden z esesmanów po polsku.

Odpowiedziało milczenie. Nikt z nas nie wierzył. Myśleliśmy mogli żydów lubić lub nie lubić, ale z ust niemieckich nie mogło wyjść nie, co mogłoby poruszyć nasze uczucia w kierunku przez nich pożądanym.

— Zresztą wy i żydzi, to jedno — dokończył esesman. — Ihr Scheisspolacken!

Gdy już byliśmy odziani w pasiaki, gdy już podzielono nas na bloki, zaczęło się życie obozowe.

Kwiecień i maj 1940 roku w Sachsenhausen. Kto pamięta tę kilkotygodniową kwarantannę, ten pamięta dno ludzkiego sadyzmu. Oto był teatr, w którym grali ludzie całkowicie obłąkani i całkowicie źli.

Rano wstawanie, mycie, śniadanie, apel i sport. Chodzenie, tulanie się, skakanie po czarnym żużlu, którym były wysypane ulice obozowe. A od dziesiątej do obiadu śpiew. Nauka niemieckich piosenek lub stanie w jednej pozycji i biada, aby ktoś spróbował przykucać albo w inny sposób zmienić pozycję: został pobity, często nawet do nieprzytomności.

Unterscharfuehrer Schubert, młody, niski mężczyzna o oczach kota. To on przyszedł o jedenastej w nocy do naszego baraku i zaczął strzelać, w końcu wszystkich rozebranych, tylko w koszulach, wyrzucił na pole przed blok. Gdy krzyknął: — Raus! — w wąskich drzwiach zrobił się taki zator i ścisk, gdyż każdy wystraszony cisnął się do wyjścia, że jakiś starszy ksiądz został zaduszony, a komuś innemu znowu złamano rękę.

Była noc zimna, szron lśnił na dachach. Nasz oprawca wrzasnął: — Hinlegen!

Myśleliśmy padli pokotem na czarny żużel, a Schubert tymczasem polewał nasze ciała zimną wodą.

Po godzinie mniej więcej, kiedy byliśmy już prawie skostnieli od zimna i drżący jak liście, rozległ się rozkaz:

— Aufstehen! Alles rein ins Block!

I znów zator w drzwiach. Krzyk jakiegoś duszonego i po paru minutach cisza... nienaturalna cisza przerażenia.

Było południe. Właśnie skończyliśmy śpiew i czekaliśmy na rozdanie obiadu. Przyszedł Unterschaffuehrer Schubert.

— Kto napluł przed blokiem? — było jego pytanie. Milczenie.

— Kto napluł?

Milczenie.

— Jeśli w przeciągu pięciu minut nikt się nie zgłosi, będziecie aż do apelu mieli karne ćwiczenia...

I wyszedł.

Karne ćwiczenia. To znaliśmy. To znaczyło, że wszyscy słabsi umrą, to znaczyło, że nas czeka parę godzin

męki, że czeka nas ból mięśni i zmęczenie i Bóg wie co . . .

— Na miłość boską, kto napluł niech się zgłosi. Bo za jednego wszyscy będziemy cierpieć — ktoś zawołał. Ależ ja widziałem jak Schubert sam napluł, wchodząc do bloku. Jakże może się ktoś zgłosić, kiedy nikt tego nie zrobił.

Schubert wrócił.

— No, kto napluł?

— Ja naplułem! — krzyknął dwudziestoletni może młodzieniec.

Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu i przerażeniu. Każdy z nas wiedział, że to nie on, że on się poświęca dla nas, że kara, która go spotka, to ratunek niejednego życia i że...

— Komm hier!

Schubert wyprowadził go do komórki, w której były podręczne narzędzia do tak zwanej Geraetenraum.

Po paru minutach zboczeniec Niemiec szedł ulicą obozową i gwizdał beztrosko... A nasz towarzysz nie żył. Nasz towarzysz wisiał na haku w ciemnej komorze.

Sachsenhausen, obóz koncentracyjny, opodal Berlina. Pomnik niemieckiej kultury.

Gdy po ośmiu tygodniach wybrano nas na transport do Mauthausen, cieszyliśmy się, że opuszczamy to miejsce zbrodni, choć nie wiedzieliśmy gdzie jedziemy i co nas czeka.

Cieszyliśmy się ze zmiany.

Mauthausen. Gdy się podchodziło pod potężne mury obozu, miało się wrażenie, że to zamczysko średniowieczne. Mauthausen, obóz położony na górze, z której rozciągał się jeden z najwspanialszych widoków Europy. W dole widać było zakręt Dunaju. Trzy mosty, ruiny jakiejś budowli rzymskiej i gdy oko płynęło po rozległej zieleni — Alpy tonące w słońcu i śniegu. Piękno przyrody i koszmarnie dławienie szczęścia ludzkiego.

Pamiętam, przywieziono transport holenderskich Żydów. Nieszczęśni dostawali mniejsze od nas racje żywnościowe i musieli pracować ciężiej niż my.

Do kamieniołomu prowadziło dwieście schodów w dół.

Myśmy pracowali w kamieniołomach, przy borach, przy rozbijaniu kamieni, albo przy ładowaniu wagonów i aut, a oni nosili dwucentnarowe kamienie pod górę do obozu. Kamienie przygniatały im głowy i ciała. Nogi się chwiały i odmawiały posłuszeństwa. Kapowie bili ich drągami i co słabszego posyłali w kierunku drutów kolczastych, gdzie czekał już wartownik z przygotowanym karabinem. Wartownicy chętnie strzelali, za każdego zastrzelonego w czasie usiłowania ucieczki wartownik otrzymywał trzy dni urlopu i sto papierosów. Tyle warte było ludzkie życie.

Któregoś dnia z pośród grona Żydów wystąpił rabin z Amsterdamu i zaczął mówić do esesmana, który był ich komandofuehrerem:

— Czemu wy nas męczycie, my jesteśmy gotowi sami odebrać sobie życie, tylko dajcie nam spokój. To pójdzie nawet szybciej niż wy myślicie. — Obrócił się do Żydów, donośnym głosem powiedział coś po hebrajsku, wykonał parę gestów ręką, jakgdyby rzucał klątwę na cały ród niemiecki i chwycił sąsiada za rękę, który wziął rękę następnego i tak w siedmiu poszli tam, gdzie urywała się ściana kamieniołomu i biegła osiemdziesiąt metrów w dół pionowo.

Skoczyli.

Potem coraz więcej Żydów kończyło życie w ten sposób. Po dwóch tygodniach z pięciuset Żydów nie zostało ani jednego.

Kości ich, spalone w krematorium, porozrzucane razem z żużlem węglowym, rozdeptane zostały przez tysiące nóg.

Otworzono nam wagony na stacji w San Georgen. Mimo krzyków rozwyrzanych esesmanów i mimo uderzeń kolbami w plecy, mimowoli piękno krajobrazu, czerwcowe łany falujące pod wiatr, powietrze jak kryształ spływające z błękitu rozgrzewało piersi, jakieś uspakajające uczucie owładnęło myśli. Dopiero widok obozu, dopiero przejście przez bramę, przy której stał wartownik w czarnym hełmie, dopiero wejście na teren obozu spowodowało na nas inne uczucie. Myśli czarne i najgorsze przeczucia owładały świadomość. Wogóle ilekroć przekraczałem bramę jakiegoś nowego dla mnie obozu, odczuwałem wrażenie jakgdyby za tymi bramami władały jakieś złe siły mistyczne, jakgdyby to zło, które tu rządziło spływało ze światła poza ludzkiego i mimowoli ciężkość owładała moje piersi tak, że przez chwilę oddech stawał się trudny. Ale będąc już w obozie, ustawieni w dziesiątki, oczekując na najbliższe zdarzenia, powoli asymilowaliśmy w sobie tę nową atmosferę. Tylko twarze nasze stały się smutniejsze, a oczy bolesne. Gdy spoglądałem w oczy towarzyszy, myślałem o wrażeniu, jakie te oczy musiały wywrzeć na człowieku wolnym i niezdegenerowanym. Te oczy były jak przepaść, jak najstraszniejsze oskarżenie rzucone na świat i na życie. I ktoś by mógł bluźnierczo zawołać, że te oczy rzucały oskarżenie na Boga, ale właśnie wspomnienie o Bogu i wieczności, o czymś co jest wolne od cierpień — było jak kojąca pieczęta matczyna, gdy schyla się nad płaczącym dzieckiem.

Jeden z esesmanów zauważył medalik u któregoś z więźniów.

— I ty wierzysz w te obrazki, ty głupcze. Niech ci Bóg pomoże — i uderzył go w twarz — Du dummes Ding, du — i odszedł ze śmiechem.

Spisano nasze nazwiska i zagnano do bloków.

Tego dnia nie było dla nas jedzenia. Każdy głodny i zmęczony jak najszybciej pogrążył się w ciężki nerwowy sen.

Następny ranek był czysty jak łąka. Kopuła błękitu spoczywała nad nami nieruchomo i lśniąco. W taki czerwcowy dzień powinno dwoje młodych ludzi, ze splecionymi ze sobą ramionami iść gdzieś połą ścieżyną i szeptać o miłości. Napewno w taki piękny czerwcowy dzień pocałunki smakują goręcej, a kwiaty mają powab większy niż zwykle. Ale i myśmy zaczęli ten czerwcowy dzień, zaczęliśmy go pracą, zaczęliśmy go dźwiganiem kamieni z kamieniołomu do obozu. Droga była ciężka, nie dlatego że była ciężka sama w sobie, ale dlatego że co dwadzieścia metrów mniej więcej stał człowiek, więzień tak jak i my, uzbrojony w drąg i żadnego z nas nie mógł minąć ciężki raz wymierzony w plecy albo w głowę. Najgorzej było ludziom o brzydkich twarzach, wystarczyło, że któryś z tych drabów zwrócił uwagę na takiego człowieka, aby go zacząć niemiłosiernie okładać kijem a nawet zabić. Gdyby go spytano dlaczego zabił tego człowieka, chyba by nie dał odpowiedzi. Prostu było w zwyczaju zabijać i za zabijanie otrzymywało się chleb, papierosy i margarynę. Za zabijanie otrzymywało się własne życie i nie było się głodnym.

Pamiętam, poszedłem raz do klozetu (klozet to był rów, nad którym było z desek zbudowane siedzenie). I od razu uderzył mnie widok ludzi chorych na biegunkę. (Chorych nie z powodu popsucia żołądka, ale z głodu i wycieńczenia). Na twarzach tych ludzi już

było widać śmierć, ostateczne zrezygnowanie i apatię.

I nagle usłyszeliśmy krzyk:

— To wy w sracu siedzicie a nie pracujecie?

Capo, który krzyczał (Capo — nazwa więźnia piastującego urząd przodownika grupy pracy), porwał kamień wielkości kostki brukowej i cisnął w naszym kierunku. Traf chciał, że uderzył w głowę opodal siedzącego. Człowiek przekopytnął się przez deskę i wpadł w kał, w którym się utopił.

— Ha, ha, ha! Der wird nicht mehr fressen brauchen. Der hat schon genug zum Fressen.

Gdyby to było w innych warunkach, potrzebowałbym prawdopodobnie dużo czasu, aby uspokoić nerwy. Tu jednak człowiek myślał o czymś innym. Stał się twardy i obojętny. Śmierć była chlebem codziennym. Po prostu z niezapiętymi portkami w garści uciekłem kilkanaście metrów dalej, ażeby znowu nosić kamienie.

Litr zupy, którą nad dawano na obiad, wcale nie zaspokoił głodu. Stale głód. Kto nie był nigdy naprawdę głodny, nie wie, jak głód boli. Susza w krtani, ból w całym organizmie i słabość. Każdy ruch boli i każde dotknięcie jest nieprzyjemne. Człowiek głodny nie umie kochać, człowiek głodny umie tylko nienawidzić. Cały świat jest dla niego wrogi. Nieprzyjemny jest najbliższy towarzysz i nieprzyjemne są najskrytsze wspomnienia. Człowiek głodny nie umie myśleć. Człowiek głodny zapomina o tym, czym był, o wykształceniu, o moralności i etyce. On jest głodny i głód jest motorem jego czynów i jego myśli. Lecz jestem przekonany, że żaden z was, żaden z tych ludzi, którzy nie byli w obozie i nie czuli tego stałego głodu, nie zrozumie tego i wyda mu się to, co czyta, może trochę nielogiczne. Ale spytajcie tych, którzy to znają, oni wam powiedzą.

Głód jest silniejszy od logiki.

Za kradzież zabijano. I jak zabijano? — Złodziei musiał się najpierw męczyć, był katowany, wieszany, kłuty, rżnięty. Wymyślano najwyszukańsze tortury dla złodziei, zwłaszcza złodziei chleba. Zbrodniarze, którzy zabijali, mieli wspaniałe uzasadnienie swego czynu.

Ten ukradł chleb, ostatni kawałek chleba swojemu towarzyszowi, który jest tak samo głodny jak on. Ten jest winien śmierci swojego towarzysza, który umiera z głodu, ten musi umrzeć — i umierał.

A mimo to ludzie kradli jeden drugiemu. Widziałem księży, adwokatów, urzędników, chłopów, którzy kradli.

Głód był silniejszy od wychowania, od hamulców etycznych i od wstydu.

Głód najwierniejszy towarzysz obozowy.

Wieczorem otrzymywaliśmy czterysta gramów chleba i pięć deka kiełbasy, ale cóż to było dla naszego głodu?

Byli tacy, którzy ten chleb pieścili, krajali kromki milimetrowej grubości, aby było jak najwięcej, aby oszukać samego siebie. Byli tacy, którzy nie mieli cierpliwości krajając, tylko jedli od razu całą pajdę. Byli tacy, którzy dzielili na części. To zjem wieczorem, to jutro rano, a to do obiadu. Takim zazwyczaj kradziono. Poszę sobie wyobrazić rozpacz człowieka, któremu ukradziono chleb. Żadna tragedia w życiu normalnym nie wyciskała tyle łez i tyle wzruszenia z człowieka, ile wyciskała kradzież chleba w obozie. Brak chleba to było zbliżenie się śmierci.

Można było zobojętnieć na śmierć cudzą, tym droż-

szą się stawało własne życie i tym większa obawa śmierci.

Oto jeden dzień z życia.

Słońce otwierało pejzaż nad obozem. Czerwone niebo schylało się do brudnych baraków, z których wysypywali się ludzie, aby rozpocząć dzień.

Ludzie?

Słaba imitacja. Coś co przypominało ludzi. Szkielety.

Ustawieni w piątki, podzieleni na setki. Każdy jednakowo cichy, jednakowo smutny i jednakowo słaby. Wychodzili do pracy.

Z góry twardy i zimny głos wołał links links links. Oto zaczął się dzień.

Ręce paru tysięcy ludzi zaczęły się wdzierać w twarzą ścianę granitowego kamieniołomu. Pejzaż przykrył się pyłem kamiennym i warkotem świrdrów, świrdrujących bardziej może ludzkie życie niż głąz.

Tuż pod granitową ścianą, blisko toru, po którym jeździły wagoniki podobne do otwartych paszczy żądających wciąż pokarmu, — one żądały kamieni, — właśnie w tym miejscu obok toru pracował młody chłopak może dwudziestoletni, może miał oczy niebieskie, może czarne, niktby nie rozpoznał w kurzu kamiennym i w łzach. Płakał?...

Was macht du hier du Hund, du verfluchte — krzyczał spłoszony bandyta o czerwonej twarzy i pałą podobną do tych, jakich niektórzy rzeźnicy używają do ogłuszania bydła, uderzył go w plecy.

— Czemu nie pracujesz? Co? Czy chcesz się ruszać, bo załukę cię na śmierć!

— Capo!

I urwał się jego krzyk. Upadł od uderzenia pięścią w twarz. I oto był powód jego śmierci.

— Czy nie chcesz wstać ty świnię, poczekaj, ja cię załukę na śmierć.

Bandyta położył pałkę na krtani chłopca i wystarczyło tylko stąpienie butami, aby chłopak nie żył.

Tymczasem kilkaset metrów dalej na placu apelowym w obozie zebrano wszystkich, którzy w ten dzień nie wyruszyli do pracy. Wszystkich słabych, chorych i takich, którzy już iść nie mogli i leżeć nawet nie mogli, tylko chcieli umrzeć. albo nawet i tego nie chcieli, bo już byli bez świadomości.

Zebrali ich na placu, gromadkę drżących ludzi, pokrytych wrzodami i brudem, których lada dmuchnięcie wiatru mogłoby przewrócić.

Sam komendant ich oglądał. Jest nie do zapomnienia ten uśmiech zadowolenia, który rozlewał się na jego twarzy.

— Weg damit!

I pognano ich wszystkich w kierunku łaźni. Kto nie mógł iść, tego drab z opaską władzy na ramieniu poniosł. Poniósł? Ciągnął go po prostu za nogę i włókł jego ciałem po kamieniach.

Oto są w łaźni.

Z chudych, z najchudszych ciał, jakie można sobie wyobrazić, zdarto powłóczenie i pognano pod prysznic. Gwałtowny prąd zimnej wody spadł na gromadę i tak już drżącą od zimna.

I nikt sobie nie może wyobrazić tego krzyku, ostatni. Nikt sobie nie może wyobrazić tych oczu otwartych niego krzyku rozpacz, który się wyrwał z tych pierśszero i jakgdyby miotających przekleństwo, tych oczu, żegnających świat.

Nikt nie przypuszczałby, że pod prysznicem można umrzeć. Strumień wody sływa na słabego już zresztą człowieka. Oddech staje się szybki i urywany. Człowiek wymachuje rękami... Wreszcie utrata przytomności, os-

tatnie uderzenie serca i śmierć. Najpopularniejsza śmierć obozowa.

Wieczorem przy apelu zameldowano sucho kometantowi.

— Zwei hundert verstorben.

Wieczorem po apelu kamieniom jest cichy, a pejaz przykrywa się mgłą zmroku. Wieczorem można było tęsknić i można było drżące i zmęczone ręce przytulić do piersi i czekać. Czekać na następny dzień, na przeznaczenie, na życie albo śmierć.

Z poezji obozów koncentracyjnych

KACET Z MAUTHAUSEN

Kamienie...
mury...
numery...
numery...
«Arbeit macht frei!»
cień, gaz kamery...
Zugang...
rewir...
Dachau — Heftlingssanatorium
esmani...
esmani...
komin krematorium.
transporty...
transporty...
Ybs...
Linz...
Steyer...
Bunkier...
psy...
Bachmayer!!!
Bachmayer...
czwarty wymiar...
Bóg wie tylko jeden
i ja
numer 30157.

WIZJA WARSZAWY

SS-kaserno na Mokotowie
Zbrojne pogotowie,
Praga odcięta...
Telefony... rozkazy...
C'sza...
Wtem znów telefony!!!
Korytarzem ktoś biegnie wystraszony

I głośnie nagle się rozkrzyczali:

«Aus Gewehr! Aus Gewehr!
Der Aufstand in Warschau!

Buchnęły strzały!
Naród się chowa po bramach
Wtem gdzieś z końca miasta
Krzyk się wznosi
Nad domy wyrasta
I w spaźmie się tamie:
«Do broni! Warszawa walczy!
W Warszawie powstanie!»

W Alei na Szkarpie
Przy czwartym numerze
Skrwawone ciało na bruku...
Siwa staruszka w oknie na parterze
Błogosławi, podnosząc różaniec:
«A gdy potrzeba, na śmierć idą po kolei
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec».

Giną rodziny, dziad pada wraz z wnukiem
Giną matki z dziećmi na rękach...
Wiatr smętne wygrywa preludia
Tam — gdzie stał pomnik Szopena w Łazienkach.

Nimcy się mszczą!
Mur czołgów, grad żelaza zewsząd się wali
Warszawa w ogniu! Warszawa się pali!
Płoną ostatnie ulice — Marszałkowska,
Sienna, Bracka...

Z kolumny Zygmunta nad skrwawione miasto
Wyciąga swe dłonie

Nike Samotracka.

STEFAN SZONERT

POLSKA Y.M.C.A. WE FRANCJI ROZPISUJE

KONKURS

na opowiadanie, urywek pamiętnika, reportaż, nowelkę czy wiersz — na tle przeżyć Polaków, którzy przebywali w niemieckich obozach jenieckich i koncentracyjnych, lub byli wywiezieni na przymusowe roboty, czy też deportowani.

Nadesłane materiały nie powinny przekraczać 4-ch stron maszynowego lub czytelnego rękopisu z podwójnym odstępem i winny być nadesłane do Redakcji «Razem» najpóźniej do dnia 25 lipca 1945 r. z dopiskiem «Konkurs» na kopercie. Każda praca winna być zaopatrzona godłem (n. p. «Jan», «Warszawa», «Pobudka», «Ożóg» i t. p.) a w drugiej załączonej do przesyłki kopercie winno być zamieszczone to samo godło i nazwisko i adres (obecny i dawny w Niemczech) uczestnika konkursu, ukrywającego się pod danym godłem.

Chodzi przede wszystkim o zebranie materiałów dokumentacyjnych, świadczących o brutalnym i bezwzględnym traktowaniu Polaków przez Niemców — a nie o efekty literackie, czy dowolne trawestacje przeżytej prawdy ostatnich lat.

Przewidziane są nagrody pieniężne i pocieszenia w postaci książek polskich lub papierosów.

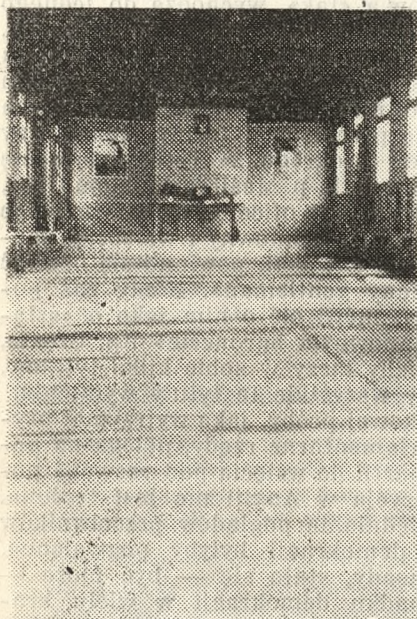
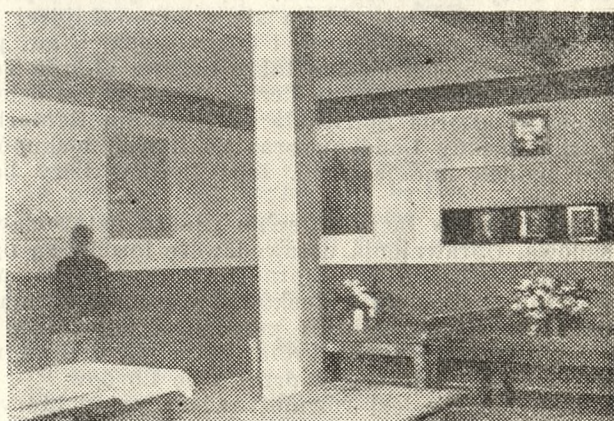
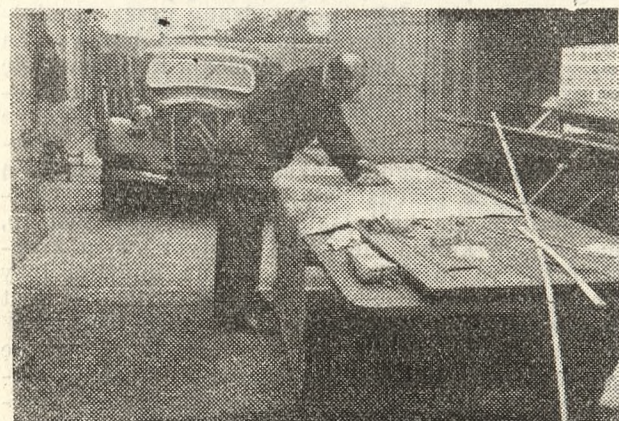
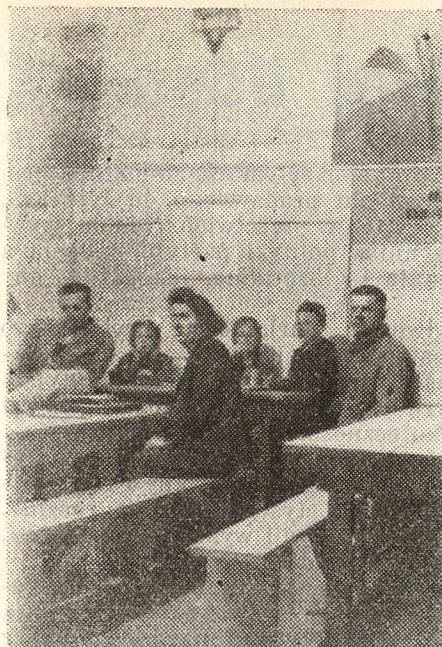
Nagrodzone i wyróżnione prace będą drukowane w «Razem» lub przesłane prasie polskiej w innych krajach.

Zapraszamy więc wszystkich Rodaków do wzięcia udziału w Konkursie.

Z OBJAZDU EKIPY POLSKIEJ YMCA PO WSCHODNIEJ FRANCJI

Oto zapowiedziane w poprzednim numerze zdjęcia z objazdu naszej ekipy po Wschodniej Francji, kiedy to założyliśmy 11 ognisk dla deportowanych, starej emigracji i wojska. Zamieszczone zdjęcia przedstawiają—od lewej do prawej — świetlice w Sedanie, Flize, Prezesa czyszczącego starą mapę na podwórzu Ogniska w Troyes (wszyscy pracowali, nie było markierantów!), świetlice w Joinville i Connantre, śniadanie na wesoło w towarzystwie dzieci z okolicznej wioski podczas defektu na drodze

Joinville-Verdun i Ognisko w Chaumont. Dalsza część — w następnym numerze.



PARLAMENT ANGLII

Niewiele parlamentarnych rządów na świecie osiągnęło tak wysoki stopień rozwoju, jak w Anglii. W tym kraju, który jest kolebką parlamentaryzmu, parlament od szeregu wieków istnieje w niemal niezmienniej postaci. Posiada on wyłączne prawa ustawodawcze, prawo ustalania budżetu, kontroli rządu, zatwierdzenia go i usunięcia.

Izba Lordów jest spadkobierczynią zgromadzenia mądrych mężów, których królowie zwoływali na narady. Później na narady zwoływani byli również przedstawiciele ludu. Przeszło sześćset lat temu król został zmuszony do zwołania parlamentu, w którym zasiadło razem rycerstwo i mieszczaństwo, tworząc późniejszą Izbę Gmin, obradującą obok Izby Lordów.

Parlament brytyjski składa się z trzech czynników: króla, Izby Lordów oraz Izby Gmin. Bez zgody króla, parlament nie może ani zebrać się, ani rozwiązać. Podobnie żaden wniosek nie może otrzymać mocy ustawy bez zgody królewskiej, jednak w ciągu ubiegłych dwustu lat królowie ani razu nie odmówili parlamentowi swej zgody. Izba Lordów, istniejąca nieprzerwanie blisko 900 lat, składa się w przeważającej liczbie z członków dziedzicznych i dożywotnich, t. zw. parów. Oprócz tych, jak się ich także nazywa «Lords Temporal», jest jeszcze pewna liczba członków nie dziedzicznych — «Lords Spiritual»: arcybiskupi Canterbury i Yorku, biskup Londynu oraz 26 innych biskupów. Są oni jednak mniejszością. Izba Lordów liczy bowiem 800 osób.

Izba Lordów łączy w sobie władzę ustawodawczą i sądową. Uprawnienia ustawodawcze lordów są ograniczone. Odebrano im możliwość wprowadzenia poprawek lub odrzucania wniosków, związanych z finansami państwa. Każdy wniosek przechodzi przez Izbę Gmin i jeśli otrzyma zgodę króla, staje się ustawą nawet, gdy zostanie odrzucony przez Izbę Lordów.

Izba Lordów jest również sądem, przed którym zarówno sprawy cywilne, jak i karne mogą być rozpatrywane apelacyjnie. Teoretycznie, ośmiuset parów może brać udział w wymiarze sprawiedliwości Izby i wydawać wyroki. W praktyce jednak, od stu lat, w sądownictwie Izby biorą udział jedynie parowie, posiadający prawnicze wykształcenie.

Izba Gmin składa się z 615 członków, z których każdy pobiera rocznie 600 funtów. Członkowie Izby są wybierani bezpośrednio przez ludność, w głosowaniu powszechnym kobiet i mężczyzn. Przewodniczącym Izby jest t. zw. «speaker», wybierany przez członków Izby. Zarówno osoba jego, jak i stanowisko są otoczone szczególnym szacunkiem. Już sama świadomość, że speaker ma możliwość utrzymania porządku obrad izby, wystarcza, by Izba porządek ten zachowała. Każdy członek Izby, który przemawia, musi natychmiast zamilknąć i usiąść, jeśli speaker wstaje. Od chwili, gdy speaker obejmuje swój urząd, życie jego staje się samotne. Przewodniczący bowiem musi unikać kontaktów, narażających go na zarzuty faworyzowania kogośkolwiek. Przewodniczącą Izby Gmin nosi miano speakera, choć jest jedynym członkiem Izby, który nigdy nie przemawia. Nazwa ta pochodzi stąd, że jest on rzeczniczką Izby i jej mówcą, gdy Izba ma zwrócić się do króla w obronie swych praw. Nawet premier nie może sprzeciwić się speakerowi.

W Izbie Lordów, przewodniczący nazywa się «Lord

Chancellor», i siedzi na pokrytym czerwoną materią worku z wełną — symbolu pradawnego, brytyjskiego handlu. Przewodniczący ten w przeciwieństwie do speakera Izby Gmin, nie unika polityki partyjnej. Posiada on prawo przemawiania i głosowania, jak każdy inny par.

Szczególną właściwością parlamentu brytyjskiego jest rola «His Majesty's Opposition» — Opozycji Jego Królewskiej Mości. Tradycyjny system brytyjski dwóch partyj daje rządowi większą stałość, a opozycji większą jedność i skuteczność.

Rola opozycji uważana jest za tak poważną, że przywódca opozycji królewskiej jest mianowany i otrzymuje pobory w kwocie dwóch tysięcy funtów rocznie. Jest starym przywilejem opozycji wybór ministerstwa, którego wydatki zamierza zbadać.

Parlament jest bardzo przywiązany do starych zwyczajów. Regulamin i procedura prawie zawsze opierają się na dawnych wydarzeniach, gdy naród walczył z bezprawiem, egoizmem i przywilejem możnych.

Każdego dnia speaker w swej śnieżnej peruce i czarnej todze wkracza do Izby, poprzedzany przez specjalnych gwardzistów, niosących historyczną buławę. Za nim kroczą sekretarz i kapelan. Procesja ta odbywa się od wieków, przy czym parlament w każdej Izbie rozpoczyna dzień obrad od modlitwy. Na wejście i wyjście speakera, członkowie Izby wstają i kłaniają się. Również skłaniają się przed speakerem, gdy przedkłada jakiś wniosek lub przedstawiają pewne sprawy. Charakterystycznym dla brytyjskiego parlamentu jest to, że speaker sam kłania się przed pustym swym krzesłem. Tłumaczyć to należy tym, że na miejscu Izby stał kiedyś kościół św. Stefana i tam gdzie dziś jest krzesło speakera, znajdował się ołtarz.

Kiedy wysłannik króla lub Izby Lordów zbliża się do gmachu Izby Gmin, wówczas drzwi z trzaskiem zamyka się przed nim, a otwierają je dopiero na trzykrotne jego pukanie. Głosowanie w Izbie Gmin nie odbywa się według specjalnych przepisów. W czasie głosowania ci, którzy mówią «tak», wychodzą do jednego przedsionka, a ci, którzy mówią «nie», do drugiego. Regulamin przemówień wymaga, że ten, kto zabiera głos, nie może, mówiąc o swym przeciwniku lub o swym przedmówcy, mówić o nim po nazwisku. W takich przypadkach używa się przepisowej formy: «Szanowny gentleman, deputowany z okręgu...» i tu podaje się nazwę np. Blackshire lub t. p. Jeśli członkiem Izby, którego wymienia mówca, jest oficer, wówczas mówiąc o nim, należy użyć zwrotu: «Szanowny i waleczny gentleman», a jeśli jest nim adwokat, powinno się nazwać go: «Szanowny i uczony gentleman». Kiedy zaś posiada tytuł dziedziczny, mówi się o nim jako o «szlachetnym lordzie», «szanownym baronie» itp. Często, gdy ktoś z członków Izby łączy w sobie kilka tytułów, mówiąc o nim, należy wszystkie te tytuły wymienić.

Tajemnica wielowiekowej próby, jaką wytrzymał brytyjski parlament i parlamentarne rządy, polega na gotowości prorządowej partii do wzięcia pod rozwagę poglądów opozycji. Opozycja w Anglii nie jest tępiona. Bez tolerancji i uwzględniania poglądów przeciwników politycznych, zasady demokracji byłyby pogwałcone. Odstąpienie od tej zasady, stało się — być może — główną przyczyną upadku demokracji w wielu krajach.

Z poezji jenieckiej

ŻOŁNIERZ NIEZNANY

Zgaszone są znicze nad złomem marmuru,
Wieńcami nie wolno spowijać mu czoła,
noc mroczna w konarach zawodzi do wlotu
przeszłości zebranej w nieznanych popiołach.

Czerń ciężka zawisła nad grobem żołnierza,
odeszli już dawno ostatni obrońcy.
Czas wielkie cierpienie jednako odmierza
zranionej legendzie i ludziom trwającym.

Wśród białych kolumnad nie trzyma nikt warty,
tłum mija w milczeniu grobowiec twej sławy, —
lecz żyjesz — choć zmarły, i trwasz rozposarty
skrzydłami honoru nad męką Warszawy.

A z placu Marszałka nad kraj lecisz cały,
nad miasta znużone czuwanem i troską, —
kółujesz wolnością i męstwem zuchwały
nad każdą najlichszą, zapadłą w sen wioską.

Nie wiedzą, że śmieszni, gdy znicze twe gasząc,
myśleli, że skonasz na marach niewoli,
lub ugniesz się słaby i sprzedasz krew naszą,
gdy ciernie się wpiją i rana zaboli.

Jak śmieszni, nie wiedząc, że mogliby pługiem
przeorać grobowiec i w pył go rozrzucić, —
a ty się ostaniesz przez lata tak długie,
aż brat twój ostatni do kraju powróci.

niewola — listopad 1942.

PROLOG

Jesteśmy, jak kamienie ciosane w milczeniu
słów, które żyjąc w sercach zakrepiły na ustach.
Przejdzie obcy i spojrzy — droga nasza pusta
drzemie w mroku cierpienia i najgłębszym cieniu.

Minie krzyż pochylony i wędruje dalej, —
nikt nie straszy westchnieniem skargi i bóleści
i nie wie, że się ziemia pod stopami pali
na cmentarzach zgubionych bez śladu i wieści.

Nie policzą nas nigdy po świecie rozpięchłych,
trwamy wszyscy cierpliwie, jak ziemia odłogiem.
Nad nami lata idą i lata już przeszły.

Czekamy, korni tylko przed litosnym Bogiem,
w obliczu prawdy jednej, jak ona niezmienni,
w milczeniu słów, co żyją, bezsłowni, kamienni.

14. III. 1943. — Meixendorf.

WSTAŁEM WCZEŚNIEJ NIŻ WSZYSCY

Wstałem wcześniej, niż wszyscy i patrzę przez okno, —
noc opada powoli za ostatnią wężę,
w sinym, mlecznym opalu szare bruzdy mokną,
których nikt nie uwięził, których nikt nie strzeże.

Drogi kładą cierpliwie kamienie pod koła,
idą starcy do pracy, jak dawniej szli młodzi,
tylko ciszej i prościej, gdy spojrzeć dokola,
tylko słońce sptowiało coraz senniejszy wschód.

I nagle, niespodzianie, z tych niezmiennych zdarzeń
powstaje myśl uparta, że tak zawsze było,
że nikt nas nie nagradza i nikt nas nie karze
i że śmierć nas pojedna prawdą swą zawiłą.

Jak śmieszne się wydają cierpienia i troski
miłość stracona i bunt, który chłoszcze...
modry dym płynie w górę ponad dachy wioski
i łączy się z chmurami, jak sprawy najprostsze.

14. III. 1943. — Meixendorf.

KIEDY POWSTANIESZ . . .

Kiedy powstaniesz w wiślanym poszumie
i pył otrząsniesz z nóg, strudzonych drogą,
ilu cię znajdzie, ilu cię zrozumie
i kto, wstrząśnięty twej przyszłości — trwogą,
choćby miał sercem kamiennym zawinić,
kupczących tobą wypędzi z świątyni.

Kiedy powstaniesz, licząc jeszcze strzepy
miast wpół spalonych, nieszczęście i grozę
co ci z historii śpiewać będą dęby
od dział kalekie, zadęcone mrozem,
przez lata wojny karmione blekotem,
samotne w słońcu i samotne w słotę.

Kiedy powstaniesz, czy uderzysz gromem
w tych, co o gości, jak psy gryźć się będą
i spalisz w popiół zmywy pokrywające
podłych, co krzyczą: tyś jest naszą świętą!
a gdy się schronią za stare kulisy
zgarniają złoto do biesiadnej misy.

Kiedy powstaniesz, czy znajdziesz potoki,
co cię napoją i obmyją z bóla,
byś nas porwała, niby lot wysoce,
jakim się moja upiła tęsknoia
za tobą — wolną, czystą i radosną.
matką pokoleń, które w męce rosną.

Bo jeśli sama siły nie zdobędziesz
i pod ciężarem upadniesz w pochodzie...
Nie! Kłówa na mnie! Próżno bluźnić będziesz!
Niedarmo giną i mrą bracia w głodzie,
niedarmo w chwilę przed śmiercią cię takną,
byś śmiała skarleć i zapaść się w bagno!

1. XI. — Meixendorf.

SZUKAŁEM CIĘ TAK DŁUGO

Szukałem cię tak długo w amarantach, w bieli, —
w orłach wysnionych dumnie nad królewską chwałą
i niknął, bladł w cierpieniu znużony Anelli
i czas z Konrada wieży nade mną przystanął.

Wolałem ciebie próżno, mijając granice
o grude ściętą mrozem raniąc słabe nogi.
Zegnałaś mnie w kryształ wykułym księżycem
i drzewem wpół-umarłym na rozstaju drogi.

Potem daleki tobie tęskniłem, jak wszyscy
tułacz w trudzie swoim, jak w kręgu zamknięci.
Pisali mi o tobie sercu memu bliscy,
bym ciebie nie utracił, nie wyparł z pamięci.

*Szły na przelaj me lata i minęły szczęście,
usypiał chłód poranny po nocy czuwania,
zaciśkały się wściekłe i bezsilne pięście,
coraz słabiej słuch chwyta dźwięk cichnące grania.*

*Młodość, schwytna w osire prostokąty drutu
trwała potąd cierpliwie, aż wiosna umarła.
Został barak przegniły, para starych butów,
mundur w latach — i życie, zwykłe życie karta.*

*I zdawaćby się mogło, że to już przedśmiertna
wiary mej i miłości ubiegła godzina,
że zbyt palą niewoli i upadku pęta,
że zbyt cięży mi każda człowieka przewina.*

*I pa'rz! jestem i żyję! i nie szukam więcej,
odnalazłem cię wreszcie w amarantach, w bieli,
w dumnych orłach wyśnionych szumnie i goręcej,
niż ty śniłeś samotny, znużony Anhelii.*

*I nie łamię się w mece i żyję nadzieją,
każda chwila do ciebie przybliża mnie bardziej
i myśli moje młode do ciebie się śmieją
i idę w twych szeregach, w pierwszej awangardzie.*

JAN MAR.

Na marginesie

KŁĘSKA PRZEWROTU KTÓREGO NIE BYŁO

Wojna z Niemcami skończyła się. Niemcy legły pokonane. Przewrót narodowo-socjalistyczny, który — w myśl oświadczenia Goebbelsa — miał opanować władzę w Niemczech na lat tysiąc, skończył się w krwawej, strasznej katastrofie, po upływie lat zaledwie dziesięciu.

To wiadomo. O tym powtarzają wszystkie gazety, to rozgłaszają bez przerwy we wszelkich głośnikach świata wszystkie głośniki radiowe. Ale o czym nie wspominają one, a co jest w istocie najważniejsze, to o tym, że przewrót narodowo-socjalistyczny dlatego musiał zakończyć się klęską, że w dziedzinie najdonioślejszej dla przyszłości Niemiec, w dziedzinie polityki zagranicznej, przewrót ten **zupełnie nie był przewrotem**.

Niemcy upadły nie dlatego, że po dojściu Hitlera do władzy zainaugurowały nową jakąś linię polityczną, ale dlatego właśnie, że uparcie aż do szczegółów pozostały wierne starej polityce pruskiej, prowadzonej niezmiennie i konsekwentnie co najmniej od czasów Fryderyka Wielkiego.

Zaborczość jako cel i fałsz, jako metoda od zbrodni rozbioru Polski i jego cynicznych uzasadnień, powtarzają się w polityce Prus, a potem Niemiec zjednoczonych, ustawicznie, stale na jedną modłę. Wojnę francusko-pruską w r. 1870 rozpoczyna sfałszowanie depeszy emskiej przez Bismarcka, a kończy ją w pierwszym Traktacie Wersalskim zabór Alzacji i Lotaryngii. Wojnę w r. 1914 rozpoczyna pogwałcenie neutralności belgijskiej którą Niemcy same gwarantowały, i oświadczenie Bethmanna-Hollwega, że «traktaty — to świstki papieru». Wojnę w roku 1939 rozpoczyna Hitler w rok zaledwie po uroczystym oświadczeniu w Monachium, że terytorialne żądania Niemiec są już zaspokojone i żadnych nowych pretensyj w Europie nie będą już one wysuwały.

Stara polityka rozbioru Polski, zaczęta przez Fryderyka Wielkiego, jest też niezmienną podstawą i funda-

mentem **wszelkich** dalszych zaborczych poczynañ Niemiec. Traktat Alvenslebena z r. 1863, w którym Prusy i Rosja gwarantują sobie wzajemnie swoje polskie zabory i zobowiązują się do wzajemnej pomocy zbrojnej by je utrzymać — to wstęp konieczny do wojny prusko-duńskiej w latach 1863-66, wojny prusko-austriackiej w latach 1866, wojny prusko-francuskiej w latach 1870-1871. Traktat brzeski z początku r. 1918, z jego ponowną próbą rozbioru Polski między Prusy, Austrię i proniemiecką Ukrainę — to wstęp do wielkiej ofensywy niemieckiej wiosną r. 1918, która w myśl planów sztabu Ludendorffa miała pokonać ostatecznie państwa zachodnie. Traktat niemiecko-rosyjski w Rapallo w r. 1922, to wstęp do polityki rewizji Traktatu Wersalskiego, prowadzonej odtąd stale i konsekwentnie przez Republikę Wejmarską Stresemanna i Treviranusa. Traktat rozbiorowy Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939, to konieczny warunek, a nawet, można rzec, przyczyna wybuchu drugiej wojny światowej.

A jak w polityce zagranicznej Rzeszy Hitler nie wkroczył na nowe tory, ale uparcie szedł drogą wytyczoną przez Bismarcków, tak i w strategii wykonywał niejednokrotnie tylko plany dawniejsze swych poprzedników. Atak na Francję przez Belgię w r. 1940 — to tylko powtórzenie manewru Schlieffena, stosowanego już w r. 1914, a ofensywa von Rundstedt'a w grudniu 1944, to jeszcze jedna, ostatnia, już nieudana próba podążenia po tej samej drodze.

Mówi się wiele i często o tym, że Niemcy hitlerowskie były pogańskie. Niestety, nie było z tym aż tak dobrze. W świecie obecnym, cynicznym, zmateralizowanym, bezbożnym, nawet **pogańska** religia Niemiec byłaby do pewnego stopnia ich wyższością. Lecz Niemcy hitlerowskie nawet pogańskiego mistycyzmu idei rasy nordyckiej nie wzięły najwidoczniej na serio, skoro tak łatwo sprzymierzyły się z kosookimi Japończykami na zgubę jasnowłosych Anglosasów. I kiedy bliżej wpatrzeć się w oblicze hitleryzmu, to z poza maski młodzieńczego poganina Zygryda wygląda starcza cyniczna twarz wolterianina, Fryderyka Wielkiego, wyznającego jeden tylko bezwstydną «dogmat», że «Pan Bóg pomaga silniejszym batalionom».

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Niemcy wierzące tylko w potęgę materialną, w liczbę i uzbrojenie, pokonane zostały przez potęgę materialną, liczbę i uzbrojenie większe i lepsze od swoich. Ale któż i kiedy pierwszy zrozumie, że na krzywdzie i kłamstwie nie zbuduje się nic trwałego, że polityka zaboru i przemocy zawsze musi prowadzić do katastrof i że jedyny sposób wybawienia świata od wojen — to powrót do chrześcijańskiej sprawiedliwości?

J. R.

Nie zapomni j

o Polakach

w Niemczech!

PODATEK SERDECZNY

Może Ich jest półtora miliona, może dwa, może trzy miliony. Dzień każdy powiększa Ich liczbę, godzina niemal każda otwiera bramy więzień, przecina druty kolczaste obozów niewoli. Jest Ich coraz więcej. Mężczyzn, kobiet, dzieci.

Myśmy jedli, Oni byli głodni od tyłu lat. Myśmy spali w wygodnych, czystych łózkach, Oni, drżąc z zimna, tłoczyli się na twardym betonie, albo leżeli w błocie. W ścisku bali się ruszyć, aby nie urazić własnych ran lub ran na ciele sąsiada. Myśmy ubierali się dostatnio, Oni chodzili w łachmanach. Nowo narodzone dzieci owijali w gazetę. Myśmy myli się codzień, Oni żyli w brudzie. Gryzła Ich robactwo, świerzba wdzierająca się głęboko pod skórę. Nikt nas nie upokarzał, nas nikt nie bił. Nimi poniewierano na każdym kroku. Nie dość było tortur, przyszedł więc katowi w pomoc lekarz i uczony niemiecki, by uprawiać na Nich wiwisekcję.

Nas dobrobyt zmieczył, rozkleił, zdemoralizował, Ich zahartowała niewola i męka. Myśmy o sobie samych zbyt często myśleli, Oni tylko o Polsce. Nie przestali wierzyć w Polskę ani na chwilę najkrótszą. Myśl o Polsce wypełniała Im całe życie i dzień każdy.

Dziś są wolni. Przekonywać o konieczności pomocy nikogo nie trzeba, rzecz bowiem jest jasna: musimy dać, ile możemy, a nawet więcej niż możemy. Ale, na miłość Boską i na miłość Polski! — to nie może być jałmużna. To jest podatek, podatek serdeczny. Płaciło się podatki dochodowe, gruntowe, rozmaite. A teraz przyszedł do nas podatek zupełnie odmienny, taki, który trzeba płacić z radością. Ale uczucie radości zmąci nam uczucie inne, mianowicie jakby wstyd z tego powodu, że Im było bardzo źle a nam, w porównaniu z Ich dołą, tak bardzo dobrze. Dając nawet więcej, niż możemy, nie potrafimy przecież uwolnić się od myśli, że i najlepsze ubranie, które otrzymają dzisiaj, nie zrównoważy tylu lat, spędzonych w łachmanach, w brudzie, w poniżeniu. Tym więcej dać trzeba, i tym prędzej.

Bądźmy raz trochę surowi wobec siebie samych i kontrolujmy się w płaceniu tej daniny. Wybierając dla nich n. p. ubranie, buty czy mydło, nie mówmy: o, dam to, bo ja go nie lubię. Przeciwnie! Trzeba właśnie dać to, co się lubi. Oraz wśród rzeczy ofiarowanych niech będzie przynajmniej jedna rzecz taka, która jest nam bardzo a bardzo potrzebna. Dajmy ją **dłatego**, że jest potrzebna, że wydaje się nam, jakobyśmy bez niej obejść się nie mogli. Nieprawda! Potrafimy się obejść bez wielu rzeczy! Podczas gdy Oni przez tyle długich straszliwych lat obchodzić się musieli bez wszystkiego! To chwila, gdy dosłownie możemy «odziać naszego».

Jest pośród rzeczy ofiarowanych damy rzecz nam bardzo potrzebną, i jeśli później, zapomniawszy o tym, żeśmy ją dali, zaczniemy jej szukać u siebie w domu i nie znajdziemy, ulgę wielką przyniesie nam myśl, że ta właśnie rzecz znajdzie się w Ich ręku czy na Ich grzbiecie. Tylko ta myśl może zmniejszyć uczucie wstydu i wypełnić czymś olbrzymią przepaść między nami a Nimi. Jedynie w ten sposób zdołamy trochę przybliżyć się ku Nim.

Ubranie, bielizna, buty, mydło, wszelkie lekarstwa, to sprawa bardzo ważna, ale jest jeszcze inna sprawa, która podług Nich stoi na pierwszym miejscu. To są dziwni ludzie. Oni chcą słowa. Słowa polskiego. Oraz,

co jeszcze bardziej piękne i wzruszające, każdy mężczyzna dorosły czy starszy czy chłopiec, skoro zostanie uwolniony i spotka Polaków, nie pyta o chleb, ani o ubranie: on pyta o to, kiedy będzie mógł wstąpić do wojska. To sprawa najważniejsza. Skoro tylko dowiedzą się, że ma do nich przyjechać polski oficer łącznikowy, piorą swe podarte w strzępy koszule, myją się piaskiem i szorują, bo każdy wyobraża sobie, że zaraz stanie przed komisją poborową. I jakże im nie dać rzeczy, które właśnie lubimy, która nam są potrzebne, niezbędne, bez których rzekomo obyć się nie możemy?

Dziwni ludzie! Nie mówią o tym, kiedy jedli; raz ostatni, ale o tym, kiedy ostatni raz czytali coś po polsku. Znowu na myśl o tym ogarnia nas wzruszenie, dreszcz jakiś i skurcz chwilowy, który folguje rychło i roztopia się. Przecież w tych ludziach jest cała Polska. Chcą się bić, chcą zaraz dostać broń do ręki. I chcą czytać po polsku. Tyle lat niewoli, głodu, nędzy, zimna, nie zdołało ich ugiąć. Tyle wysiłku niemieckiego poszło na nie, bo ci, którzy dożyli do momentu uwolnienia, są tacy sami, jak byli przed tym. Pogarda, z którą Niemcy odnosili się do wszystkiego, co polskie, wzmocniła w tych niewolnikach miłość Polski, nateżyła wolę, wsparła wiarę w Polskę, w Jej nieśmiertelność.

Jest Ich może półtora miliona, może dwa, może trzy miliony. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Głodni? Tak, ale u Nich występuje w równym nateżeniu głód broni i głód książki polskiej. Dziwni ludzie i wspaniali.

Jakże im nie dać w podatku serdecznym rzeczy takich, które lubimy, które nam rzekomo są niezbędne. Właśnie te rzeczy dajmy! Dajmy ich jak najwięcej!

JĘZYK POLSKI

*Powtarzamy zwykłe słowa naszej mowy :
los, tęsknota lub odczucie 'rai' dziecienny
i rym do nich nie jest trudny ani nowy.
Ale w słowa sens się wkłada i różne inny.*

*Jakaż przeszłość przypominały ? Czy próg domu
gdzie raz kiedyś szczęście kwitło i mieszkano,
niepojęte dziś, nieznane j z nikomu
choć w nich było go tak wiele --- i za mało...*

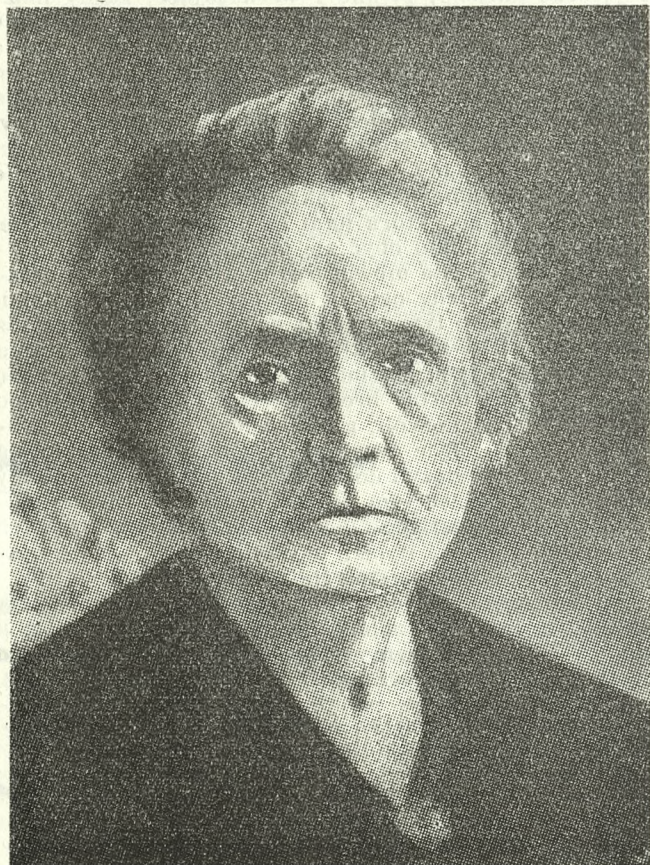
*Dla zgnębionych, dla żyjących pod obuchem
obecnej siły, nienawiści i pogardy
każdy wyraz, pogłębiony buntu duchem
w opór stęzał i wyzwania ma ton twardy.*

*A dla innych, którzy są na przymierze
i nadzieję przeświecila dnie tułacz
w tym języku popołtym bije serce,
choć w nim pacierz tak jak dawniej jż nie płacze.*

*Bo niezłomne, urzeczone ojców mową
plemię woła dziś o prawo jej nazwiska,
w ciało żywe obracając każde słowo
aż uderzy tym piorunem co w niej błyska.*

Aleksander JANTA.

BOHATERSKA POLKA



Maria Curie-Skłodowska

Odkrycia Marii Skłodowskiej są znane na całym świecie. Rad, Polon — rozstawiły to imię szeroko.

Zostawiła po sobie dzieła niezniszczalne. Jej prace, jej odkrycia będą na zawsze dla nauki kamieniami fundamentalnymi. Nazwisko jej, związane nierozłącznie z tym, co działała, z czcią wymawiać będą pokolenia uczonych wszystkich krajów.

Dla nas Maria Curie-Skłodowska jest jednak czymś więcej, niż sławną czezoną odkrywczynią Radu i Polonu. Dla nas — to wzór Polki.

Wzór bohaterskiej Polki.

Tak. Bohaterskiej. Nie jest bowiem bohaterstwem tylko czyn szalonej odwagi na polu bitwy, czy chwilowy poryw w trudnej sytuacji życiowej. Większym stokroć od tych bezsprzecznych bohaterstw jest bohaterstwo codziennej walki przez całe życie.

A taką codzienną walką było życie Marii Curie-Skłodowskiej.

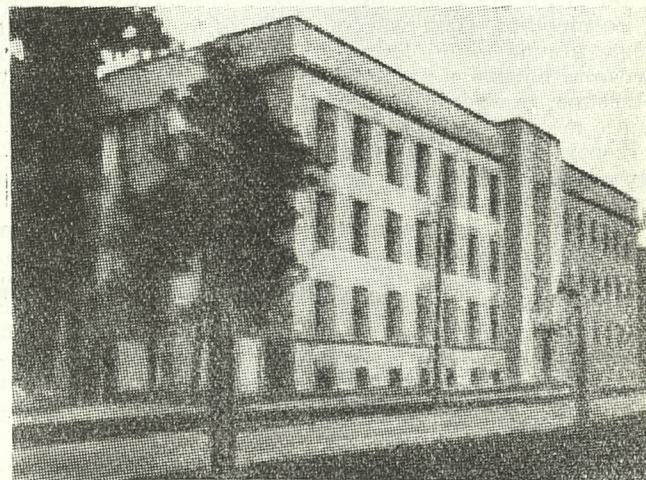
Urodzona w r. 1867 w Warszawie, była najmłodszą z 5 dzieci Bronisławy z Boguskich i Władysława Skłodowskiego. Matka — kobieta o dużym wykształceniu, przełożona pensji w Warszawie, ojciec — profesor gimnazjalny, wykładowca matematyki i fizyki. Wychowana

w ciężkiej atmosferze Warszawy po powstaniu styczniowym, Warszawy okrytej żałobą, odczuwa boleśnie w dziewiątym roku życia dotkliwą stratę matki.

Oddaje się wtedy z zapętem nauce. Dzięki wpływom ojca zainteresowania jej kierują się do nauk matematycznych. Ma lat piętnaście, gdy kończy ze złotym medalem gimnazjum. Postanawia prowadzić dalej swe studia. Brak jednak pieniędzy. Lecz nie zwykła Maria Skłodowska zmieniać swych postanowień. Pracuje kilka lat w Warszawie jako nauczycielka, kształcąc się jednocześnie dalej w fizyce i matematyce, by wreszcie za zdobyte pieniądze móc wyjechać do Francji na studia.

W r. 1891 zapisuje się na Uniwersytet w Paryżu. Już w r. 1892 uzyskuje, jako pierwsza licencjat fizyczno-chemiczny, a w rok potem matematyczny. Te dwa lata to szczyt wytrwałości. W okropnych warunkach materialnych, w głodzie i chłdzie zdobywa wytrwale szczyble nauki. Ta jej zaciętość, wytrwałość, silna wola i wybitna inteligencja zwracają na nią uwagę profesorów. W trzecim roku walki uzyskuje skromne stypendium bezzwrotne. Skłodowska jednak uważa pieniądź jej ofiarowany za grosz publiczny, — który należy zwrócić, to też z pierwszych zarobionych pieniędzy oddaje całą ofiarowaną sumę.

—Powraca do kraju w r. 1894. Ale tu dla kobiet uniwersytety są zamknięte. Jest Polką — to uniemożliwia każde staranie u rządów zaborezych. Wraca tedy do Francji, gdzie następnego roku pobiera się z Piotrem Curie, profesorem fizyki, człowiekiem, podobnie jak Maria, oddanym całkowicie nauce. Wysoko pojmując dostojęstwo nauki postanawiają wyrzec się wszelkich korzyści materialnych ze swoich odkryć. Tak wysoko pojęta praca naukowa, choć prowadzona w najcięższych warunkach, musi dać rezultaty. I oto w r. 1898 udaje się Marii Skłodowskiej wyodrębnić dwa pierwiastki, których istnienia dowiodła w roku poprzednim w swej pracy o pierwiastkach promieniotwórczych.



Instytut Radowy w Warszawie

Jednemu z nich daje nazwę Polon, drugiemu Rad. To nazwanie odkrytego pierwiastka Polonem — mówi nam aż nadto o Marii Skłodowskiej, jako Polce.

Odkrycie bowiem tego pierwiastka jest w dziejach nauki wydarzeniem historycznym, stąd też i nazwa jego stała się manifestacją wobec całego świata. Niedopuszczona przez zaborców do uniwersytetu własnego kraju, manifestuje swą polskość na obczyźnie, pokazując światu, że myśl polska nadal kroczy na przedzie cywilizacji i kultury świata.

Za odkrycia te otrzymuje wraz z mężem największą nagrodę naukową w świecie — nagrodę Nobla.

Nie ustaje jednak w dalszej swej pracy naukowej. Kiedy w r. 1906 wskutek wypadku ginie jej mąż Piotr Curie, z heroizmem opanowuje nieszczęście i wysiłkiem woli pozostaje na posterunku. Musi objąć katedrę fizyki w Sorbonie po mężu, prowadzić dalej swoje i jego prace, które przynoszą jej nowy szereg odznaczeń i nagród, między nimi po raz drugi nagrodę Nobla.

W r. 1913 rząd francuski wznosi dla niej specjalny instytut radowy, że wreszcie po dwudziestu latach pracy ma własną pracownię, na którą mąż jej czekał na próżno całe życie. Przychodzi wojna. Maria Skłodowska staje do służby drugiej swej Ojczyzny Francji. Organizuje automobilowe ambulanse radiologiczne, które sama, choć przemęczona i chora, prowadzi na front! Bohaterstwo jej jest bezprzykładne.

W nagrodę doczeka się chwili najradośniejszej w swym życiu — Polska wyzwala się i tworzy własne państwo.

W r. 1921 zostaje zaproszona z córkami do Stanów Zjednoczonych, gdzie przyjmowana owacyjnie, otrzymuje z rąk Prezydenta Stanów Zjednoczonych gram Radu, złożony jej w darze przez kobiety amerykańskie, które w ten sposób pragnęły wyrazić swój hołd wzorowi kobiecie, jaką jest wielka Polka.

Tego samego roku przybywa do Polski, z którą zawsze kontakt bliski utrzymywała i rzuca myśl stworzenia w Warszawie Instytutu Radowego. Ze składek społeczeństwa kosztem dwu milionów złotych wybudowany został potężny gmach, nazwany jej imieniem. W r. 1931 przybyła do Polski, by dokonać uroczystości otwarcia Instytutu Radowego im. Marii Curie-Skłodowskiej.

W dniu 4 lipca 1934 r. zmarła wielka uczona polska bohaterską śmiercią, wskutek zabójczych działań promieni radu, który odkryła i nad którym całe życie, prawie do ostatniej chwili pracowała.

Zmarła Maria Curie-Skłodowska jak na żołnierza przystało.

Całe jej życie było pasmem ciężkich walk, ale walk zwycięskich, dzięki swej wytrwałości, silnej woli i wiary w swe szczytne posłannictwo.

E. O.

Nieznany poeta polskiego ludu

Norbert Bończyk urodził się 6 czerwca 1837 r. w Miechowiecach pod Bytomiem z rodziców Walentego, urzędnika kopalnianego i Hanki z Łukaszczyków. Wcześniej stracił matkę i dwie siostry na tyfus głodowy. Pozostało ojcu jeszcze troje dzieci. Norbert już jako młody chłopiec okazywał wielkie zdolności i zamiłowania do nauki. W trzynastym roku życia oddał go więc ojciec do Bytomia jednemu z nauczycieli, żeby go poduczył w języku łacińskim i niemieckim, rok później do gimnazjum w Gliwicach, a potem na uniwersytet do Wrocławia. Cztery lata studiów akademickich wywarły bardzo dodatni wpływ na umysł młodego Bończyka. Oprócz teologii uczył się języków słowiańskich. Zasadą jego było: Jak gruntowna nauka rozum rozwija, powierzchowna zatruwa serce i zabija! Zapoznał się z literaturą polską, rozmiłował się w niej. W tym też czasie zaczął sam polskie wiersze pisywać.

Po skończeniu nauk uniwersyteckich 4 lipca 1862 r. otrzymał święcenie kapłańskie. Najpierw był dwa lata kapłanem w Piekarach, później w Bytomiu, zostając z czasem rządcą parafii i proboszczem.

Na wzór swojego poprzednika ks. proboszcza Szarfranka zaczął pracować dla ludu górnośląskiego nie tylko w kościele. Ksiądz Bończyk w gazecie «Zwiastun Górnośląski» ogłaszał swoje artykuły, rozprawy i wiersze. Nauczycielstwo wzywał do pielęgnowania czystości mowy polskiej i polecał im odpowiednie książki do czytania. W r. 1869 założył kasyno polskie, do którego schodziła się ludność z miasta, z Rozbarku, Łagiewnik, Szarleja, Piekara, Chorzowa, Michałkowie, Siemianowice i Królewskiej Huty. Nikt nie żałował dalekiej drogi, bo warto było posłuchać nauki księdza Bończyka. W roku 1871 założył dla młodzieży w Bytomiu Związek św. Alojzego, pierwszy na Górnym Śląsku. Ks. Bończyk kierował związkiem tak, aby młodzieńcy nauczyli się naj-

pierw żyć, pracować, być posłusznymi rodzicom, aby przez czytanki, deklamacje, teatry nauczyli się szanować i cenić literaturę swoją polską. Na sztandarze związkowym mieli napis:

Ty młodzieży, wznosź sztandary:

Broń języka, broń swej wiary!

Kto te ojców skarby podli,

Darmo się do Boga modli.

Ksiądz Bończyk był opiekunem przemysłowców i robotników górnośląskich. Mówili o nim, że mimo wielkich obowiązków parafialnych poświęcił im czas i siły swoje; pouczał wykładowi, utwierdzał w wierze świętej; napominał do postępowania zawsze i wszędzie drogami Boskimi; wskazywał drogi prawe ku oświeceniu i podniesieniu się społeczeństwa; cieszył się razem z nimi, bolał z nimi, a zawsze krzepił, dodawał otuchy, był łaskawym, dobrotliwym, szczerym i wiernym ojcem i przewodnikiem.

Ksiądz Norbert Bończyk stał się popularny i znany również przez swoją działalność literacką. Napisał wiele wierszy okolicznościowych, które częściowo zostały zebrane w «Chwasty z własnej zagrody» i wiele wierszy religijnych i modlitw.

Największy rozgłos przyniosły ks. Bończykowi jego utwory epiczne (t. zn. utwór, pisany na tle ważnych faktów historycznych, charakteryzujący cały naród lub jeden jego odłam), z których zachowały się tylko «Stary Kościół Miechowski» i «Góra Chełmska». Ksiądz Bończyk-poeta chwalili i podziwiali różni literaci i krytycy polscy i obcy. W «Kościele Miechowskim» opisuje życie ludu jednej wsi polskiej, a w «Górze Chełmskiej» cały polski lud górnośląski. Znaczenie i wartość poezji ks. Bończyka polega na tym, że są one swojskie. Język tych utworów jest bardzo prosty, zrozumiały, przystępny dla każdego, a przytem niezwykle piękny. Lud polski na Śląsku otrzymał od ks. Bończy-

ka piękną pamiątkę — własny poemat, którego bohaterem jest właśnie ten lud śląski, symbol miłości Ojczyzny, pracowitości, wiary, cierpliwości.

Ksiądz Bończyk zmarł 18 lutego 1893 roku.

E. O.

Ks. Norbert BOŃCZYK.

W MIECHOWICACH NAJŁADNIEJ...

*Ty, co gardząc ojczyzną, zwiedzasz Alpów szczyty,
A żadnych miast widokiem nie mogąc być syty,
Aż do Włoch niesiesz oczy, aż do Neapolu,
Choć te same piękności masz na polskim polu,
Lecz żeś słyszał, czy czytał, iż kto tego kąta
Ziemii nie zwiedził, darmo po świecie się krąży —
Błądzisz! żal mi cię bracie, żal mi twej kieszzeni!
Pójdź ty no do Miechowic, zatop w ich zeleni,
Lub w ich lasach twe oczy, tu też, tu oglądaj!
A gdyś widział choć cząstkę, nie umierać żądasz
Jak u stóp Wezuwiusza, lecz żyć! żyć! Wszak włoskie
Noce nie są tak piękne, jak noce miechowski!*

*Pieśni polskie nabożne! Wam to Bóg sam chyba
Tak cudowny dał urok, iż aż do nieba
Tych uczucia wznosicie, co was czerpią słuchem;
Koby słów waszych nie znał odgadnie je duchem,
Słowo zdrżę powietrze waszą melodyją,
Gdy do boju wołacie, otrzą wasze ryją
serca aż do żywego, dodawając męstwa:
Waszym ogniom Czech i Lech winni swe zwycięstwa!
Kto wami prosi Boga, pewien wystuchania,*

*Kto wami płacze, kto w was chowie serca łkania:
W piersi zmnij, nieczułej jak lód, żal podwoi.
Wasz balsam zdrowych żywici, chorym rany goi.
Żeście duchem półświata, stąd się wróg wasz sroży;
Z wami istnieje naród, a w nim Kościół Boży.*

*Właśnie kończył ksiądz Proboszcz, gdy z odkrytej wieży
Dźwięczny dzwon wołał gości do zwykłych pacierzy.
Wstawszy, wszyscy się znaniem krzyża przeżegnali;
Lecz i goście w stodole na głos azwonusi wsali;
Jacek Łaszczyk zanadł, a jak chryścijanśki
Zwyczaj, za nim śpiewają wszyscy Anioł Pański.
Usłyszawszy śpiew, Proboszcz ku s. odole śpiesz
Śpiewa z trzodą, a w sercu pasterskiem się cieszy,
Że nawet na weselu lud jego pamięta
o Bogu! Gdy ustała melodia święta,
Przeżegnał pasterz trzodę i tak się odzywa:
«Drogi mi ludek polski, gdy przy pracy śpiewa;
Droższy, gdy i przy ucztach nosi w sercu Boga!
Bądźcie zawsze dobrymi! Niech was ani trwoga,
Ani szczęście od drogi cno y ne odwiedzie!
Dziękuję Wam za wszystko! A wam, mój sąsiedzie
Kornowicu, dziękuję, że pod waszą strzechą
Tak miłe miał przyjęcie. Taką się uciechą
Człek wzmocni do prac dalszych. Teraz mnie już woła
Mój brewiarz. «Bóg z wami!» Tu cała stodoła
Wyrzuciła ku Księdzu: rewerendę, ręce
Ścisną i całą ją te serca dziecięce!
Oczy ich go prowadzą; — on się niby mroczy,
Bo zbyt kłiwy, — lecz tajnie z łez ociera oczy!*

Mimochodem

O naszej propagandzie słów kilkoro

Na temat naszej propagandy, a raczej na temat jej niedoskonałości wylano już morze atramentu i farby drukarskiej i morze żółci i naglej krwi zalewało autorów i czytelników wszelkiego rodzaju felietonów, artykułów, listów i t. p.

Zagadnienie propagandy nie jest rzeczą łatwą. — Trzeba ją umieć robić. Można tłumaczyć, że w naszym słowiańskim, a szczególnie w polskim charakterze jakoś to nie leży, że robimy ją jak umiemy i t. d. — ale to nie rozwiązuje zagadnienia. Złe ją robimy, więc trzeba coś zmienić. Pewnie, że często warunki natury zewnętrznej utrudniają, ale na to, by mówić prawdę zawsze znaleźć można sposób, nawet w powodzi kłamstw.

Polak — wydaje mi się — nie lubi słowa propaganda. Zbyt dużo pod to określenie podkłada terminów jeszcze goebbelsowskich, nie lubi, by o nim mówiono, albo za bardzo to lubi, ma wstręt do «robienia» propagandy, uważając, że jest to coś sztucznego, niepotrzebnego, mało skutecznego i t. d. Gdyby zmienić to słowo, tak bardzo zbliżone do «grandy» na jakieś inne, może ludzie nabraliby przekonania do tego, co powinno być: mówieniem prawdy o sobie i do zwalczania kłamstw nie nowym kłamstwem, ale prawdą, której może nie znają wszyscy. Gdyby jeszcze zmienić trochę ludzi z «naszej propagandy» na młodszych — może nie byłoby tak z nią źle. Bo co tu dużo gadać: do tego trzeba wiedzy, doświadczenia, zapału, energii i podejścia. Jeśli chodzi o wiedzę, to naogół więcej jej mają starsi, ale już z do-

świadczeniem u młodych nie jest najgorzej (szczególnie po doświadczeniach ostatnich lat), a z energią, zapałem, poświęceniem i podejściem do ludzi i spraw jest już zupełnie źle, ale u starych. To jest normalne, ludzkie, uzasadnione psychologicznie, że starszy facet lubi pantofle, szlafrok, wygodę i niedużo trudu, przytem bardziej pamięta o sobie i rodzinie — niż młody, który nie ma tych wygodnicko-familijnych balastów i nie ciągnie za sobą uprzedzeń czy marzeń o żłobie.

Tych parę luźno rzuconych uwag jest do przegryzienia przez bezębnych leśnych dziadków i przez młodych, którzy są wciąż «młodzi» lub «za młodzi» i odstawiani w kąt przez «starszych». Aż wreszcie kiedyś ci «za młodzi» zobaczą, że są starzy; to niepotrzebną i najbardziej przykrą starością tych, którzy nie wielkiego ani pożytecznego nie zrobili. Wydaje mi się, że jedną z tragedij naszego życia polskiego jest to, że ci sami ludzie poraz drugi i trzeci odbudowują Polskę. Już możnaby im dać urlop, wędkę, cygaro i sandały, niech sobie odpoczną. Życie wciąż idzie naprzód i ludzie się zmieniają.

A po tych luźnych uwagach parę faktów o naszej propagandzie.

Jeszcze po Wielkanocy, w pierwszy dzień po świętach, we wtorek, w późnych godzinach wieczornych słuchacz francuski mógł usłyszeć z Paryża zapowiadane dość szeroko w prasie słuchowisko p. Marii Kastorskiej do muzyki p. Horowicza — p. t. «Les legendes polonaises».

Jestem dość spokojny i opanowany. Wtedy natomiast

zalewała mnie krew i zbierał pusty śmiech. W dobrych godzinach wieczornych, gdy dużo ludzi siedzi przy głosnikach, puszcza się takie bzdury. Tak, bzdury.

W muzyce nie było n.e. polskiego, a chóry Radia Paryskiego zawodziły murmurando coś, co było istinno rosyjskie. Raz, jak sierota, zabłąkała się melodia: Hej, że Polacy wogóle kłócą się o jakąś linię Curzona i t. d. Chopina. Przez całe trzydzieści minut (a tak długo trwała ta cudowna audycja) słuchacz nie usłyszał nic, co byłoby polskie, żadnego krakowiaka, oberka, nie ludowego, a tylko coś tak zawodzącego, że chciało się wyć: «Hospody pomituj», lub «Wołga, Wołga»...

Bardzo tragiczny głos speakerki opowiadał legendy i podania polskie, z których jedna tylko była mi znana: O kwiecie paproci, zresztą tak przyprawiona, że byłem conajmniej zuziwniony. Nie sięgnięto do bogatej skarbnicy naszych legend, czy podań ludowych, nie n.e. było o naszych zwyczajach — a za to bajeczki Andersena czy Grimma, dość dowolnie trawestowane i podawane na tle monotonna zawodzących chórów Radia Paryż: a—a—a—a—.

Nic nie usłyszeliśmy o Wandzie, a byłoby tak na czaisie, o smoku wawelskim, o królowej Kindze, o św. Janie Kantym i rozbitym dzbanku, nie o Lechu, Czechu i Rusie, nie o śpiących rycerzach w Tatrach — można było coś wziąć z Mickiewicza, Tetmajera czy Orkana. Można było z tego zrobić cacko. Zrobiono grandę, gorzej — bo zmarnowano dobrą okazję. Wyobrażam sobie Francuza, który zna choć trochę muzykę rosyjską — jak się musiał dziwić, słuchając tego słuchowiska, że Polacy wogóle kłócą się o jakąś linię Curzona i t. d. — jeżeli wszyscy są, nawet pod względem muzyki, rosyjscy. Chciałbym wiedzieć, kto jest za takie wyczyny odpowiedzialny, bo chyba ktoś organizuje i ktoś daje swe placet. Dzieją się wogóle ciekawe rzeczy.

Ostatnio poszedłem ze znajomą Francuzką zwiedzić Pałac Inwalidów w Paryżu. W muzeum wojskowym są dwie sale poświęcone armiom alianckim w okresie wojny 1914-1918. Są nawet stoiska czeskie, rumuńskie i serbskie i stoi gablotka z napisem «Armée Polonaise». Jest pusta. Przypuszczam, że Niemcy, niszcząc wszystko co polskie w Paryżu, nie zapomnieli i o tym.

Ale czy nie było już dość czasu od Liberation, by gablotkę tę zapełnić? Tym bardziej, że chodzi tu o armię gen. Hallera, rekrutowaną we Francji, więc jakieś pamiątki polskie z tego okresu muszą przecież tu być; w każdym razie nie byłoby o nie trudno. Przypuszczam, że winę tego niedopatrzenia, bardzo bolesnego dla polskiego widza i dziwiącego nawet Francuza, ponoszą nasi gospodarze, ale czy nasze władze wojskowe nie mają tu nic do powiedzenia w tej sprawie? Towarzyszka moja była bardzo zdziwiona i było jej naprawdę przykro, gdyśmy stanęli przed pustą gablotką. Całe szczęście, że przynajmniej napis: Armée Polonaise — został.

Gdyśmy wychodzili zaczęliśmy mówić o Polsce i o Jej wkładzie do obecnej wojny. Towarzyszka moja słyszała w Lyonie piękną prelekcję R. Fajansa o naszym Drugim Korpusie w Italii, o Monte Cassino i t. d. Mówiła mi:

— Nte rozumiem, że wy tak nic nie robicie, by informować nasze społeczeństwo o was, o waszych ofiarach i wyczynach. Przecież przeciętny Francuz mówi, że Monte Cassino zdobyli Francuzi, że powstanie w Warszawie było jak w Paryżu i t. d. Gdy raz sprostowałam w towarzystwie, że bój pod Monte Cassino wygrali Polacy, oburzono się na mnie i naraziłam się na zarzut braku patriotyzmu z mej strony i t. p. Gdy mówiono o dwóch rządach i linii Curzona dopiero zrozumieli gdy powiedziałam, że przecież Anglosasi za pomoc w oswobodzeniu Francji nie biorą wcale połowy jej terytorium. I tak wciąż: są gazety włoskie, czeskie, sowieckie, a nawet niemieckie, tych «wolnych Niemców», redagowane w języku francuskim, by informować nasze społeczeństwo o swych sprawach i w sposób im wygodny, a wy? Te «Documents» coś mi przysłał, czytają u mnie w domu i zaczynają rozumieć. Ale to mało, mało; jeszcze raz mało. I wcale nie tak bez zazritu, jeśli chodzi o psychikę francuską.

Zdaje się, że dobitniej tego felietonu nie mogę zakończyć. Powtarzam słowa dziewczyny francuskiej wszystkim naszym propagandzistom.

J.

Z prasy podziemnej młodych

Poniżej zamieszczamy artykuły lub tylko ich fragmenty jakie ukazały się w podziemnej prasie młodych w Polsce, jeszcze pod okupacją niemiecką. Nic nie straciły one na aktualności, a przeciwnie często zyskują jeszcze.

NA CZYM POLEGA REWOLUCYJNOŚĆ MŁODYCH

Wypowiem się jako przedstawiciel poglądów większości chłopców.

Pierwsze źródło rewolucyjności — to bunt przeciw starszym. Starsi w najlepszym razie żyją ideałami swojej młodości i nie widzą, że świat się zmienia i trzeba iść naprzód. Powtarzam — najlepszym — bo większość to są ludzie już zupełnie zrezygnowani, utrap praktyczni, zimno trzeźwi i do wszystkiego zniechęceni. Patrzą na nas, jak na niedowarzonych lekkoduchów, którzy nie mają szacunku dla ich wieku i «zasług», z zasady nie słuchają ich, swą żywiołowością lub niespokojnymi wyskokami psują im spokojną,

otępiającą życiową drzemkę. Nie wiem, czy ludzie ci nigdy młodymi nie byli, czy aż tak wszystko zapomnieli? Jeśli chodzi o młodzię, zwłaszcza męską, to istotnie zdarzają się wypadki niekarności «dla zasady», ale to dopiero w następstwie zaczęcia się wojny między tresującymi nas, a nami.

Przeważnie interesujemy się bardzo wieloma aktualnymi zagadnieniami; rozstrząsamy je między sobą, ale te nasze argumenty i dyskusje są gołosłowne, łatane z różnych źródeł — nie mamy odpowiedniego odczytania, przygotowania. Wiele czujemy, wiele pragniemy, wiele się oburzamy i zapalamy, ale brak temu podstaw rzeczowych, intelektualnych. I tu właśnie starsi, zwłaszcza nauczyciele, mogliby nam podać pomocną dłoń lekturą wyjaśniającą, nie bojąc się poruszania tych spraw i wyjścia poza ramy programu tak często dla nas nudnego. Niektórzy to robią, ale bardzo rzadko. Posądzają nas nieraz o skrajność poglądów, o komunizm nawet. Ależ my dopiero szukamy takiego rozwiązania różnych bolączek, sprawiedliwego powszechnie, z korzyścią dla ogółu, a nawet poszeze-

gólnych grup i ludzi. Właśnie to, że starsi do tych spraw odnoszą się obojętnie, że im dobrze jest tak jak jest — to budzi w nas pewien bunt, zaostrza krytyczne ustosunkowanie się, powoduje zatargi.

Takie jest jedno oblicze rewolucyjności młodych, ale jest i drugie, a wyładowuje się specjalnie w takich jak dziś czasach. Jest tu i wiara niezłomna w zwycięstwo prawdy i dobra, i gotowość do ofiar dla tego ideału i urok konspiracyjności, i zapal pokonywania trudności, i nieliczenie się z własnym niebezpieczeństwem i korzyścią, i pogarda, straszna pogarda dla tych, którzy się boją własnego cienia, którzy chcieliby ten okres przespąć (no i przejeść, przebawić się, i dorobić się), a potem z miną tryumfatora zasiąść do gotowego stołu. A wtedy dla nich tam miejsca nie będzie.

Jest jeszcze jedna kwestia poruszona w tej dyskusji: zdobywanie ideologii niezależnie od grup politycznych. Według mnie młodzież jest z natury apolityczna. Taką młodzież, o jakiej mówiłem, porywa wszystko, co górne i dobre (no, zawsze trochę krańcowe, więc z natury mniej ma wspólnego ze spokojnymi konserwatystami, choćby najszlachetniejszymi), a dopiero zależnie, z kim się zetkniemy, ten wciąga nas do swojej grupy politycznej i wykorzystuje często niewłaściwie.

Czyli, że uważam za zupełnie możliwe zdobywanie ideologii i budowanie swego światopoglądu ponadpartijnego. Tylko to jest wogóle sprawa bardzo, bardzo trudna. Serca mamy gorące, ale w głowach chaos, w duszach często walkę sprzecznych porywów, w charakterze chwiejność. I tu właśnie czujemy potrzebę kierowniczej, życziwej ręki wychowawcy, ale musi być duchem tak młody, jak my. I tylko taki zyska zaufanie, autorytet swojej wiedzy (musi dużo, dużo wiedzieć), posłuch bez kar, stać się może naszym przewodnikiem.

JEŻELI...

... Jeżeli w tramwaju, lub w pociągu ustępujesz miejsca panom i starszym paniom «dobrze ubranym» lub takim, co do których masz przekonanie, że należą do «inteligencji», a nie robisz tego w stosunku do zmordowanej szmuglerki lub starszego robotnika,

jeżeli kłaniasz się pierwszy paniom i panom znanym ci z terenu towarzyskiego, a zaniedbujesz tego w stosunku do znajomego, dużo od siebie starszego dozorca czy woźnego,

jeżeli zachowujesz tytuł «pan» lub «pani» dla małego stosunkowo środowiska, sądzisz natomiast, że względem chłopów, robotników i służby domowej najzręcniej brzmi forma «wy»,

jeżeli nie znasz uścisku ręki szorstkiej od pracy fizycznej, bo swoją podajesz tylko pracownikom umysłowym, czy przedstawicielom «sfer uprzywilejowanych» —

— to utrwalasz, a nawet wzmacniasz zadawnione, a zawsze krwawiące i żywe poczucie krzywdy społecznej. Bo krzywda społeczna, to nie tylko brak chleba, gdy inni chorują z jego nadmiaru, to nie tylko wilgotna i ciasna izba, gdy inni żyją w słonecznych i zdrowych mieszkaniach, to nie tylko brak środków na lekarstwo dla dziecka, gdy inni mogą korzystać z najbardziej kosztownych osiągnięć medycyny. To także — i w olbrzymim stopniu — poczucie poniżenia.

Nie należy sądzić, że rodzi się ono tylko z różnic materialnych. Bo szczególnie żyzną glebą dla plenięcia się tego poczucia, dotkliwego jak niegojąca się rana — jest właśnie obyczaj. Obyczaj, który opiera się na tym, że nie każdemu człowiekowi przypisuje się jed-

nakie prawo do poszanowania jego godności.

A taki właśnie obyczaj jest u nas niemal powszechny. Nieliczne są środowiska i odosobnione jednostki, które z nim zrywają. Jedne robią to świadomie, wypowiadają walkę fatalnej tradycji, inni powodują się prosto własną niż to przeciętnie bywa wrażliwością na cudze cierpienia moralne.

Nie łatwo jest narzucić zmiany dojrzałemu pokoleniu, chociaż ogromną rolę odegrają tu towarzyszące wojnie wstrząsy społeczne. Ale młodość — sprzyja zmianom. To jednak nie wystarczy. Trzeba ich dokończyć, trzeba je przeprowadzić świadomie i celowo. To nie będzie łatwe. Bo stanie przeciwko nam lenistwo, a przede wszystkim obawa śmieśności i brak odwagi cywilnej.

Odwagi bojowej nam nie brak. Ale dopiero połączenie odwagi bojowej z odwagą cywilną i siłą przekonań daje prawdziwie wartościowego żołnierza, zdolnego wywalczyć nową Polskę.

MORALNOŚĆ MURZYŃSKA

Gdy jako dzieci czytaliśmy «W pustyni i puszcy», śmieliśmy się z murzyna Kalego, który na zapytanie misjonarza, co jest złem a co dobrem, odpowiedział w prostocie ducha: złem jest gdy ktoś Kalemu zabierze krowę, dobrem jest, gdy Kali komu krowę zabierze.

I Kali i my wtedy nie wiedzieliśmy, że owe naiwnie brzmiące słowa są pogładowo wyrażonym skrótem moralności politycznej Europejczyka.

Utrata ziemi skutkiem niepowodzeń politycznych jest w języku polityka wyrwaniem żywego strzępa z organizmu narodu — ale przyłączenie cudzych obszarów — to zawsze odzyskanie prastarych terenów. Zanik poczucia narodowego członków własnego społeczeństwa — to zdrada, ale wynaradawianie, choćby przemocą innych ludów — to chwalebne dzieło cywilizacyjne.

Przykłady mnożą się w nieskończoność. Można by ułożyć dwa słowniki służące potrzebom dwójakiego nazywania swoich i obcych. Obcy «napada», swój tylko «broni się», zmuszony przez tamtego (jak Niemcy musieli się bronić przed Polską we wrześniu 1939 r.), obcy «grabili», swój «rekwiruje», obcy «morduje», swój «zarządza sprawiedliwą karę».

Czyż trzeba więcej przykładów dla poparcia twierdzenia, że nie w Afryce, a właśnie w Europie tryumfuje osobliwa teoria Kalego?

Tylko, że tu nie wypływa ona z naiwności. Zrodził ją bowiem cyniczny pogląd na moralność, jako na parawan dla najwstrętniejszych roszczeń egoizmu. «Wszystkie stare zbrodnie świata», jakby powiedział Krasiński, postrojone w szaty «godnych słów» panoszą się, łudząc czy dezorientując naiwnych.

Jedyny może objaw pocieszający tkwi właśnie w tym, że zło maskuje się, że się kryje za dekoracją czcigodnych słów (wolność, sprawiedliwość, kultura), że nie śmie więc już wystąpić jawnie, bez osłon.

Czy to nie dowód, że wbrew teoretycznym rozważaniom nad moralnością, jej historią i źródłami, jest w Europejczykach jakaś wspólna praktyczna, z fundamentów wspólnej kultury rzymsko-chrześcijańskiej wyrosła świadomość tego, co moralne i niemoralne.

Mniejsza o teorię; nie obchodzi nas teraz teza relatywizmu etycznego, twierdzenie, że pod różnymi długościami i szerokościami geograficznymi różne kształtują się zakazy i nakazy moralne.

Praktycznie biorąc, czujemy, że dla nas Europejczyków wieku XX, istnieje pewna ilość prawd przyjętych i obowiązujących od setek lat.

Pastwienie się nad bezbronnym, torturowanie, mordowanie jeńców, zabijanie dziecka, kobiety, starca, rannych czy chorych — te wszystkie znane nam od czterech lat akty nikczemności niemieckiej są ponurym grzechem przeciwko owemu ugruntowanemu w nas prawu moralnemu. I w tych właśnie zjawiskach kryje się dla nas duże niebezpieczeństwo moralne i kulturalne: straszliwie zniszczeni przez wroga, który świadomie wyłączał się z naszej ludzkiej społeczności, zrywając z tradycją europejską, dostajemy się pod wpływ jego zbrodniczego przykładu. A jak się ten wpływ objawia? Któż z nas nie słyszał choćby takich słów: «Hitlerowi należy się pomnik za zlikwidowanie Żydów».

Więc znów murzyn Kali? Złe, gdy Niemiec nas morduje, dobrze — gdy mordujemy tych, co nam szkodzą. Musimy przecież zdawać sobie sprawę, że, biorąc za podstawę oceny własny interes, stajemy na stanowisku niemieckiego zbrodniarza. Nawet na plakaty propagandowe dostało się hasło z «Mein Kampf»: «Dobre jest to, co służy państwu niemieckiemu, złe jest to, co mu szkodzi». To właśnie jest korzeń.

O KOMPROMISACH

Z wybitnym niepokojem obserwuję, że w społeczeństwie polskim, przebywającym w Wielkiej Brytanii, powszechnie przyjmuje się k u l t k o m p r o m i s u jako bezwzględnej zalety zarówno w życiu indywidualnym jak i zbiorowym. Kompromis tak dalece zdobył już sobie prawo obywatelstwa w naszych szeregach, że został nawet uznany za jeden z elementów polskiego ideału wychowawczego.

Stan ten uważam za wysoce niepokojący z tego powodu, że słowo k o m p r o m i s pokrywa treść o niezmiernie szerokim zakresie. Istnieją bowiem kompromisy, które są niewątpliwie zaletą i kompromisy, które — podyktowane wygodnictwem lub brakiem odwagi — są godne potępienia; a między nimi rozciąga się cała skala. Granica jest bardzo elastyczna i niewyraźna. Społeczeństwo polskie bardzo często nie dostrzega jej wcale. Kult kompromisu prowadzi do przyjęcia kompromisu jako p o s t a w y ż y c i o w e j, bez względu na to, czy jest on w danej chwili słuszny, czy nie — i to jest objaw dla nas prawdziwie groźny, tym więcej, że słowem «kompromis» pokrywa się nieraz ustępstwa i klęski, które wcale nie są kompromisami.

Anglia stawiana jest nam często za wzór, jako kraj kompromisu. Tylko, że my nie zawsze rozumiemy istotę angielskiego kompromisu i — skłonni do naśladowania — gotowiśmy, jak się wyżej powiedziało, przyjmując za podstawę życiową kompromis w każdej postaci. Anglik widzi granicę między kompromisem-zaletą, a kompromisem nie do przyjęcia o wiele wyraźniej, niż my.

Myślę, że nie pomylę się bardzo, jeśli powiem, że istotą kompromisu angielskiego w życiu indywidualnym jest łatwe rezygnowanie z własnych przywilejów na rzecz dobrego współżycia z innymi. Nie ma to nic wspólnego z rezygnacją z rzeczy istotnych: własnych przekonań lub podstawowych praw życiowych. Dobrze współżycie z innymi, oszczędzanie uczuć innych ludzi warte są tego, żeby nie upierać się zanadto przy jakimś słowie czy przyzwyczajeniu — dlatego Anglik wybiera kompromis. Ale silne poczucie godności własnej Anglika i silne poczucie jego naturalnych praw są czynnikami, które doskonale zaznaczają granicę między

kompromisem, będącym powszechnie przyjętą zaletą, a kompromisem będącym rezygnacją z czegoś istotnego.

Kompromisy polityczne Wielkiej Brytanii przede wszystkim nigdy nie odnosiły się do spraw tak istotnych, jak samo zagadnienie bytu państwowego czy narodowego — mało było do tego okazji. Gdy okazja taka nadarzyła się w 1940 roku — nie było kompromisu. Kompromisy polityczne Wielkiej Brytanii, o ile mi się wydaje, wogóle nie są rezygnacją, są tylko przyjęciem, z tych czy innych powodów, na pewien okres, czasu «arrangement», które może być nawet sprzeczne z zasadniczą linią wytyczną, ale które jest czymś przejściowym, co tej linii wytycznej nie przekreśla, jakkolwiek odracza jej cele. Wielka Brytania czuje się mocarstwem, ma czas, może czekać aż sytuacja stanie się znów dogodna, aby otwarcie powrócić do swych niezmiennych podstaw polityki. Wielka Brytania czuje się również dość silna na to, aby przyjętym kompromisem zakreślić granice ściśle z góry oznaczone. To trzeba sobie bardzo jasno uprzytomnić, gdy się pragnie angielskie metody stosować w polskim życiu.

Trudno jest zwięźłą definicją ująć, co jest kompromisem — zaletą, a co nim nie jest. Nakreślone poniżej punkty są próbą, niewątpliwie niekompletną, takiej definicji:

K o m p r o m i s j e s t z a l e t ą — jeśli jest dobrowolną rezygnacją z własnego przywileju na rzecz wyższej wartości, np. dobrego współżycia między ludźmi. Kompromis jest słuszny, kiedy obie zawierające go strony czynią równą wagę ustępstwa dla jakiejś wyższej racji.

K o m p r o m i s j e s t o b j a w e m m a ł o ś c i ducha — jeśli jest rezygnacją dla t. zw. «świętego spokoju» i własnej wygody.

K o m p r o m i s j e s t r e z y g n a c j ą d o k o n a n ą p o d p r e s j ą g r o ż b y l u b s i ł y — nie jest kompromisem, ale przez słabość i brak odwagi podyktowanym poddaniem się.

K o m p r o m i s j e s ł i d o t y c z y i s t o t n y c h zasadniczych poglądów na rzeczy wieczne, świat i człowieka, lub podstawowych praw życiowych jednostki czy narodu — nie jest kompromisem, lecz zaakceptowaniem porażki lub przegranej.

Nie może być kompromisu między dobrem i złem. Między sprawiedliwym i niesprawiedliwym.

W. BOCHENEK.

Wysiedleńcy

Izba duża i głucha o zdrapanych ścianach
Kartofle w kące za piecem, kura na kurczętach
Łóżko gołe, stół szary, ławka pół złamana
I nad łóżkiem obrazek Maryi zatłknięty.

Oczy jasne, słowiańskie jak niebo nad Wisłą
Skąd z chat z pomiędzy sadów wygnat ich bat wroga
Ileż w oczach tych bólu i skłagi zawisto!
Długa, prawdziwie ciężka, kłwaryjska droga!

Oczy jasne, słowiańskie, pełne skłagi i krzywdy
których zbójca germański tyle łez wytoczył,
Tyle zaszczerpił bólu że nigdy, przynigdy
Już śmiać się tak nie potrafią jako inne oczy.

Oczy dziecka-sieroty, twarz starca zorana
Na progu, z pozdrowieniem pytają się chciwie
Kiedy będzie im znowu to szczęście przyznane
By móc wrócić, pracować na ojczyściej niwie?

Koncert Małcużyńskiego w Paryżu

Wszedł na estradę spokojny, skupiony. Nie zmienił się zewnętrznie przez te lata wojny. Pamiętam go z wieczorów paryskich w 1940 r., gdy grywał w małych salach. Koncert jego stanowił wówczas jedną z atrakcyj jakiegoś dobroczynnego i hałaśliwego wieczorku i poprzedzany był zwykle słowami: «A teraz młody pianista, laureat konkursu chopinowskiego...». Po występie Małcużyńskiego ludzie mówili: «Owszem — ma talent, przyszłość...» A «znawcy» stwierdzali: «Tak, tak — ale trochę chłodny...» Lecz mało kto przeczuł, że w tym młodym wówczas i młodym dziś jeszcze artyście tkwi to coś jedynego i rzadkiego, co postawi go w krótkim czasie w rzędzie najlepszych pianistów świata.

Pierwszy jego koncert w Paryżu (13. VI. 45) w Théâtre des Champs Elysées przekonał nas o tym w zupełności. Początkowe frazy Ballady pozwoliły już zrozumieć, że słuchamy artysty najwyższego gatunku, artysty, który osiągnął poziom rzadko spotykany. Zupełnie indywidualna i odbiegająca od szablonu — nawet najlepszego — interpretacja, uczyniła to, że najbardziej znane utwory Chopina brzmiały jak coś nowego, a równocześnie cisnęła się myśl: «Ależ tak — to może i MUSI być grane tylko TAK». I być może, że w tym właśnie kryje się największy czar i urok, jaki rzuca na słuchaczy Małcużyński. Zwartość i skupienie, umiejętność — jakże trudna — opanowania wspaniałej techniki na korzyść wyrazu, mistrzowskie przechodzenie z piano do forte i odwrotnie, stanowią dalszą tajemnicę tego talentu pierwszej wielkości.

Wszystkie te cechy gry Małcużyńskiego objawiły się nam od pierwszych tonów i dalsze utwory potęgowały już tylko raz rzucony urok. Ale naprawdę wielkim oka-

zał się on w trzech Mazurkach. Potrafił wydobyć z nich to, co może jest ich największą tajemnicą — samego Chopin'a. Mazurki będące czymś w rodzaju szkicu muzycznego, tworzone pod wpływem chwilowego nastroju i przepełnione myślami, których Chopin nie powierzył nikomu, są czymś więcej niż kompozycją. Splatają się w nich w jedno uśmiech, tęsknota, gorzkość, ironia, wspomnienia. Wszystko to było w Mazurkach, wykonanych przez Małcużyńskiego.

Wale i zagrany na koniec Polonez As-dur wzbudziły entuzjazm. Ludzie wstali ze swych miejsc, bijąc brawo i krzycząc, nie chcąc opuścić teatru bez słyszenia jeszcze kilku utworów. Małcużyński grał. Grał wspaniale. Audytorium słuchało, stojąc. Podbił i oczarował wszystkich. Przy wyjściu słyszało się tylko słowa zachwytu i uniesienia wypowiedziane po polsku, po angielsku, po francusku. Zapowiedziany drugi koncert w dn. 26-go czerwca zgromadzi napewno tych samych słuchaczy. Nikt nie zechce opuścić sposobności usłyszenia po raz drugi tego wielkiego pianisty.

Małcużyński jest młody i jest już sławą. Będzie ona wzrastać w ciągu dalszych lat rozwoju jego talentu.

Podkreślić należy, że pierwszy ten koncert na terenie Francji po powrocie z Ameryki i Anglii, Małcużyński dał na dochód P.C.K., a drugi zapowiedziany zagra na odbudowę Biblioteki Polskiej w Paryżu. Gest ten Artysty, wysoce obywatelski i patriotyczny, stawia Go tym bliżej naszym sercem, że w geście tym pamiętania przede wszystkim o Braciach jest tyle z Chopina i Paderewskiego, tyle Polaka.

A. B.

ANDRZEJ CHCIUK

WIOSENNE WIERŚE

WIOSENNA CHANDRA

(ośnane przy 38,3°)

Sam się przyznaje, że wiosną durniej
kiedy już wybuchną jaśminy i bzy —
to wtedy trudno : i nie śpię i nie jem,
jestem raz wesoły, a raz znowu zły.

I chodzę sobie po mieście, po parkach
i wącham jaśminy koło cudzych will,
a jak jest ciemno drapie się na parkan
(taki jest kochany zapach tamtych chwil).

Oglądam pawie i do bżów się śmieję,
co białą egzema chcą zarazić mnie —
to znów bym chodził do wszystkich kafejek,
by ze stróżem z parku w dechę zalać się.

Bż bym gdzieś nakradł, gdzieś prima-arr'is
zrobiłbym niemadru, tak z przed szóstu lat —
bo mnie ponosi. braciszkuwie mili,
cóż na to poradzę: wiosna i bżów kwiat....

I aż się jąłom, no bo w mojej głowie
nie myśli wtedy, lecz norecza bżów —
a każdy bliźni bliźnio chciałby dowieść,
że znów, panie tego, pan ma kuku, znów —

Chodzę rozbiętu, z rękoma w łieszeni,
nie mnie nie obchodzi, że się chaj, że... że —
Może Pan chory? Może neurastenik?
A ja chodzę, wącham, nie wiem czego chcę....

Wącham kieliszki różnorodnych trunków,
wącham słońce, łsieżyć i sieć gwiazdnych lamp,
a we mnie chandru ab nabrzmiał karbunkul:
i z kimś bym się kłócił, a z kim — nie wiem sam.

I wzdycham, stękam, przeklinam i krążę
i wiosne chcę wąchać — nie pachnie nic, nie —
Panie Andrzeju, czy nie wpadł pan w ciężę?
I „ha-h” uśmieszę — i znów he he he....

To nie jest dowcip, ani żaden ławał.
Wpadłem — owszem — w ciążę, ja, Andrzej, ja, Chciuk —
tylko to tak, moi drodzy, sprawa,
żebym już obradzać rymami dziś mógł.

Więc wieczór wyjdę na ciche przedmieście,
między małe wille, w jaśminy i bzy —
a wy mi wiercie, albo mi nie wiercie:
i będę słuchał jak płód we mnie drży.

....I na białego papieru pieluszcze
raczkuję w wiosnę, w jaśminy i bez,
najdroższy Chciuczek na ołówka nóżce
aż powiem z ulgą: jam twój ojciec jest.

I wiersz urośnie w jasną noc wiosenną,
wybuchnie jak w parkach jaśminy i bzy,
i będzie dziać się coś dziwnego ze mną
i będzie tak dobrze, o tak dobrze mi....

A potem będę chodził i się gapił,
uśmiechniętą głową Wam każdemu w twarz,
i powiem: bracie, chodź się ze mną napij,
jeśli tylko blisko jaką knajpę znasz.

I wybranemu nad którymś kieliszkiem
powiem o ojcostwie: chrzciny potrzeba, chrzciny —
Będziemy głądzić o niczym i wszystkim,
aż szepnę nieśmiało: posłuchaj — mój syn....

A potem wyjdę bżów gdzieś ukraść naręcz
i gwizdać na stróża, co w dyżurce śpi.
Ja: pan poeta, co arkuszy parę
tak napsuł: bzy, wiosna, jaśminy i bzy....

WIERSZYK O WIOŚNIE I MOIM POKOJU

Mam taką malutki pokój
Jest miły --- lecz obcy jednak
wspomnień tu tyle śpi wokół,
choć wiosna jest wszędzie jedna.

W moim małym, cichym pokoju
w przystani dużej tęsknoty,
sny w nocy mnie niepokoją
sny czarne, jasne i złote.

Sny o mej wiosnie buńczucznej
o mieście znanym napamięć —
— wszystko zamykam w me chciuczki
i żyję sam, z wspomnieniami.

Tęsknotę mam jak czterowiersz
układam w rymy i zwroty
i papierowi opowiem
o chwilach gorzkich i słodkich.

O malce, wargach dziewczęcych
O domu, kolegach, Lwowie
i to me wszystko — nic więcej....
Nie dużo chcę: prosty człowiek.

Wieczorem czytam i piszę,
myślę, znów piszę, wspominam
aż wreszcie w nocy usłyszę,
jak bije późna godzina.

Jak bije u mnie, na mieście
i zaraz obok, za ścianą —

ubranie złożę na krześle
i powiem sobie: dobranoc.

Mam taką malutki pokój,
jest miły — lecz jednak nie mój —
wspomnień tu tyle jest wokół:
nie mogę wygnać ich, przemoc.

Bo z wonią bżów i jaśminów
pełzną, podchodzą, mkną do mnie
i płyną, płyną i płyną —
Któż nie ma wiosennych wspomnień?....

W I O S N A

Wiem, że naiwny będzie to wierszyk,
trochę dziecienny, lecz przez to ładny,
o takiej wielkiej miłości pierwszej,
która z poprzednich nie liczy żadnej.

....Maj był i wieczór i kwitła wiosna
w bżach i kasztanach. Szliśmy pod ręce —
o wiosna była taka radosna
jak to się śpiewa w każdej piosence.

Gdyśmy mówili — to tak jak dzieci,
tak pieścizolliwie, na'wnie, prosto;
gdyśmy milczeli — w oczach nam świecił
spokój serc dwojga objętych wiosną.

A potem szliśmy przez ciche miasto,
co nawet nie wie, co to jest miłość —
księżyc za chmurką jak dziecko zasnął:
dobranoc, by ci dobrze się śniło.

Dobranoc drzewom, płakom i domom,
dobranoc całej pachnącej wiosnie ---
— jak nam jest dobrze, to niech nikomu
dzisiaj nie zbraknie dobrej radości.

A potem ciche, znane rlice,
na znanej trasie do Twojego domu,
szeptały do nas, że tajemnicy
naszej nie zdradzą nigdy nikomu.

A myśmy na to się uśmiechneli:
nie trzeba nigdy szczęścia ukrywać,
niechby już sobie wszyscy wiedzieli,
żem ja szczęśliwy i Tyś szczęśliwa.

....Aż wreszcie przyszło rzewne milczenie,
gdyśmy stanęli przed Twoją bramą,
tacy oboje smutni, zmęczeni,
bo trzeba będzie rzec już: dobranoc....

Szczęście rozejdzie się razem z nami,
do jutra będzie jak i my czekać —
— w domu przed lustrem z uśmiechem s'aniiesz
do warg nabrzmiałych c h c e s i ę uśmiechać....

.. .. .

W modlitwie mojej, zawsze tak prostej,
zawsze prosiłem o to Cię, Boże,
bym się zakochał tylko na wiosnę,
boś po to chyba wiosnę nam stworzył....

Od dnia, co Ciebie przyniósł mi, dziewczyno
czar najpiękniejszy na życie opłynął,
upił, ogarnął, wziął mnie we władanie —
i wiem, że Ciebie nie oddam już za nic.

Od dnia, gdy Ciebie mam już przy swym boku,
znam swoje szczęście i uśmiech i spokój,
bo w naszych jasnym dzieciennych pieśniodach
jest dawnych przeczuć spełniona tęsknota.

Bo widzę teraz, że całe me wczoraj
po brzegi pełne było tylko Tobą
choć nieznaną — to przecież raz po raz
widziałem Ciebie tuż przy mnie, tuż obok.

Bo przecież wszędzie byłaś ciągle ze mną,
na drogach dobrych i tych niepotrzebnych,
gdzie tak mi ciężko było i tak ciemno:
Ty, przeczuwany jasny jutra przebłyśk.

Bo przecież tęskniąc dzieciennie za szczęściem
kochając inną, smucąc się, czy śmiejąc,
czułem brak Ciebie i już coraz częściej
nadzieją żyłem, spotkania nadzieją.

Aż dzień ten przyszedł jeden z pośród wielu
jak każdy dotąd, a tak cudnie nowy
co stał się wreszcie słoneczną niedzielą
w tygodniu lat mych powszednich, jałowych...

MODLITWA WŁÓCZĘGÓW

Bądź pochwalony nasz Boże
dobry i uśmiechnięty
za świat, któregoś nam stworzył
na Tobie cały rozpięty.

O, Boże, bądź pochwalony
za słońce co nam jest bratem,
że oczy smutnych, zmęczonych
rozświećla wciąż nowych sił światłem.

Bądź pochwalony za księżyc,
za wiatr, wodę i ogień
bo biednemu włóczędze
bliskie są i drogie.

Bądź pochwalony za lasy,
za góry, płaki i kwiaty,
bo gdy się jest z nimi
trzeba się poczuć i ludzi bratem.

Bądź pochwalony za wiosnę
i za to, że maj — to maj:
dobrej, wiosennej radości
aż do jesieni dni naszych nam daj.

Bądź pochwalony, Boże
ze słów najcichszej modlitwy,
świętą, co rośniesz przy drodze
gdzieś pośród krzewów rozkwitłych.

Bądź pochwalony w kościołach
które są smukłe i duże,
gdzie trzeba do Ciebie wołać
dzwonami albo na chórze.

Lecz przede wszystkim pochwalon
bądź, Boże, w naszych sercach
i święć się w nich dobrocią
zawistnym i oszczercom.

Bądź pochwalony za miłość
któregś nam w serca wszczepił,
bez niej źle by nam było —
ona tak śpiewnie nas krzepi.

Bądź pochwalony za uśmiech
coś dał nam swojej dobroci,
za przyjaźń co nie przemija
i mrok rozświećla i złoci.

Bądź pochwalony za smutek
tęsknotę, rozpacz i łzy,
bo zawsze — nie dziś to jutro
radością okażesz się Ty.

Bądź pochwalony za radość,
za wiarę i za nadzieję,
która się każe uśmiechać
i patrzeć ufnie w zawieję.

Bądź pochwalony za miłość
która przebacza — i w błękit
każe popatrzeć się szczerze
w dniach szczęścia i w dniach męki.

Bądź pochwalony za piękno,
w dziełach ludzkich i w Twojej naturze,
za to, że one tak jasno
zachwycić potrafią i urzec.

Bądź pochwalony za życie,
za ciągle siebie szukanie
i za to, że w duszy naszej
nie ma miar ani granic.

Bądź pochwalony też, Boże
za przykaz ostateń Twój,
że śmierci cielesnej nie może
żaden z nas w życiu ująć.

Bądź pochwalony, bo w Tobie
jest drugie życie, niebieskie
i w Tobie n'c nam nie robi
śmierć zwykła, ziemską, cielesną.

Bo w Tobie jest życie z ducha
dla tych, co nie są w grzechu,
dla tych, co chcieli słuchać
i jaśnieć od Twego uśmiechu.

Bądź drogowskazem jak słońce
na każdym widnokręgu,
Boże, w'ecznie idących
i kochających włóczęgów.

I daj nam siłę, by prosto
szedł każdy z nas w życia zamęt,
szedł jak dobra apostoł
uśmiechu i serca. Amen.

TO ZAWDZIĘCZAM MATCE

Gdy ścigająca Niemców kompania piechoty amerykańskiej dotarła do Renu pod Remagen, okazało się, że most Ludendorfa pozostał nietknięty. Wówczas porucznik dowodzący kompanią wydał rozkaz sierżantowi, by ten na czele plutonu sforsował most. Sierżant poderwał swój pluton i w silnym ogniu niemieckim przedarł się przez most, ustanawiając w ten sposób przyczółek aliancki, który przyczynił się znacznie do przyspieszenia klęski Niemiec. Ten sierżant amerykański był pierwszym żołnierzem alianckim, który przedostał się na drugą stronę Renu. Nazywa się on **Stanisław Drabik**, rodzice jego pochodzą z pod Krakowa. Zapytany oświadczył, że zna doskonale język polski. Po polsku nauczyła go mówić matka.

Tak, matka. Ileż to razy słyszeliśmy tę odpowiedź od Polaków spotykanych pod różnymi szerokościami geograficznymi, w różnych częściach świata.

Na wiadomość o tworzeniu się wojska polskiego we Francji, zimą 1939 roku, natychmiast poczęły napływać tysiące robotników z pośród Polonii francuskiej. Przybywali ludzie starsi, urodzeni, a nawet wychowani w Polsce. Przybywali młodzi, urodzeni we Francji, ale wychowani w ośrodkach polskich, gdzie kwitła nauka języka polskiego. Przybywali jednak również synowie rodzin, których losy emigracji rzuciły do odległych zakątków Francji, gdzie nie było Polaków. Dzieci chodziły do francuskiej szkoły, bawiły się z francuskimi rówieśnikami. Ojciec spędzał cały dzień w fabryce lub kopalni i przyzwyczajał się mówić po francusku, posługując się językiem polskim coraz rzadziej. Ale matka...

Matka pilnowała zawsze, aby w domu przy stole mówiono tylko po polsku. Karcita ojca, gdy w domu odzywał się po francusku, poprawiała błędy językowe dzieci. Pilnowała, by uczyły się czytać i pisać po polsku, choć sama nie zawsze była biegła w tych umiejętnościach. Tak — matka! To słowo padało zawsze w odpowiedzi na zadane pytanie: «Jak się to stało, że tak dobrze mówisz po polsku?»

Później gdy zetknęliśmy się z Amerykanami polskiego pochodzenia, usłyszeliśmy tę samą opowieść o matce, której imię wymawiane było zawsze z tą samą czcią, z tą samą miłością i szacunkiem.

Ta więź narodowa, ta świadomość wspólnoty, wywieziona z domu rodzinnego, którego polskość podtrzymywała często matka — wzrusza zawsze do głębi polskich żołnierzy, gdziekolwiek spotykają oni owych amerykańskich kolegów pochodzenia polskiego.

A zadziwiającą rzeczą jest jak poważny odsetek stanowią w wojsku amerykańskim Polacy. Spotykamy ich wszędzie od czasu przybycia do Wielkiej Brytanii pierwszych kontyngentów wojsk amerykańskich. Ilekroć prasa światowa wymienia żołnierzy, lotników czy marynarzy amerykańskich — wyróżnionych za jakieś czyny wojenne — z reguły spotykamy wśród nich nazwiska o polskim brzmieniu.

Pierwsi Polacy amerykańscy, którzy przybyli do Wielkiej Brytanii, nawiązali od razu kontakt z jednostkami wojska polskiego, stacjonowanego w Szkocji. Wielu z nich spędziło urlopy wśród polskich kolegów. W obozach amerykańskich poczęto prenumerować polskie gazety i pisma. Gdziekolwiek z odznaką «Poland» na ramieniu spotkało się jakąś grupę żołnierzy amerykań-

skich, zawsze ktoś z pośród nich wołał po polsku: «Hej! kolega jest też Polak? A ty z których stron Polski?»

Później rozpoczęła się inwazja Afryki północnej i pierwsza fala Amerykanów odpłynęła z Wielkiej Brytanii. Tak się złożyło, że w konwoju wzięły udział statki polskie «Sobieski» i «Batory». Trzeba było widzieć dumę i radość Polaków amerykańskich, gdy się dowiedzieli, że płyną pod polską banderą. Z dumą przechadzali się po pokładzie, cieszyli się każdym szczegółem tych naprawdę pięknych jednostek polskiej floty, wychwalali sprawność i umiejętności techniczne polskich marynarzy.

Inwazja kontynentu rozdzieliła nas na dobre. Polska dywizja pancerna przydzielona została do armii kanadyjskiej, operującej na zupełnie innych odcinkach niż Amerykanie. Nie spotykaliśmy ich nigdy. Tylko z komunikatów radiowych słyszeliśmy o wspaniałych operacjach wojsk amerykańskich. I cieszyliśmy się zawsze, ile razy w rozkazach pochwalnych, czy sprawozdaniach prasowych wymieniane było polskie nazwisko.

Aż wreszcie, gdzieś na pograniczu mokrej i ponurej Holandii, zawitało do nas dwóch gości. Dwóch żołnierzy amerykańskich, Polaków z pod Detroit. Przybyli, by spędzić z nami... urlop. Tak dosłownie — tygodniowy urlop. Mogliśmy jechać do Paryża — oświadczyli skromnie. Ale cóż tam robić? Woleliśmy do swoich. Wdzieliśmy, że gdzieś tu jesteście na północy — więc postanowiliśmy się przejechać wzdłuż frontu — tak rzemiennym dyszlem.

Dywizja była wówczas w akcji. Tygodniowy urlop w lepiankach i zalanych wodą okopach, w nieustannym ogniu niemieckim — nie należał z pewnością do przyjemności. A jednak jakiś dziwny instynkt przygnał tych dwóch Polaków. Właśnie tam do Holandii — zamiast na zastępstwo wypoczynek do Paryża. Przybyli do nas, aby spędzić kilka dni w atmosferze polskości, mówiąc po polsku, słuchając opowieści o Polsce.

Przybyli w poszukiwaniu tego, co wynieśli z domu, z czasów dzieciństwa. Tego, co nauczyła ich matka.

T. Szadkowski.

Na 101-lecie YMCA

Wyjazd Jerzego

*Kiedy drogą kredową wśród wzgórz i wrzosowisk
jechałeś bladym ranikiem z ojcem do Bridgewater,
smutne myśli musiały chodzić Ci po głowie
smutne myśli dziecięce i lęk przed złym światem.*

*W oczach pewnie Ci matka stała ciągle jeszcze,
tak, jak tzy obcierała dłonią i fartuchem,
krzyż nad Tobą skłesała, wzrok rzuciła w przestrzeń
gdzie szukała dla Ciebie i siebie otuchy.*

*Stary ojciec ma dużo -- tak po chłopsku -- dzieci,
więc do miasta za pracą jedzie syn najmłodszy,
bo z ziemi by nie wyżył jeszcze jeden przecież
i gdzie indziej, za chlebem trzeba zwrócić oczy.*

Na fermie mówić dużo rzecz to niesłychana
tam trzeba dużo robić : więc żegnano krótko ---
jeszcze calus i uśmiech i ręką podana
i trochę jest w uśmiechach radości i smutku.

...Kochanej dobrej Matce błysnęło coś w twarzy
jest jakieś dziwne ciepło w ostatnim uścisku ---
--- każda matka o szczęściu dla swych dzieci marzy,
jak im nieba przychylić i dać w życiu wszystko.

W uśmiechu cichej matki rozkwitała radość
przeczuła dumą z syna, który będzie wielki
i miłością wypowie obłudom i zdradom
walkę o młode dusze, walkę pustkom wszelkim.

W groźnym, dusznym Londynie, gdzieś w domu Hitchcoaka
na poddaszu subiektów wśród bezsennej nocy
szukać będziesz w swym sercu wielkiej wiary, szukać
siły, którą zapłoną Twe chłopięce oczy.

Z malczynego uśmiechu wyjdzie duże hasło,
co połączy ręką tyle poprzez kontynenty
i tak dobrze i szczerze i ufnie i jasno
rozkáže się popatrzyć w oczy Prawdzie Świętej,

I rozbłyśnie miłością ponad całym światem,
miłością co buduje i wszystko stanowi --
--- Co z tego przeczuwałeś, kiedyś do Bridgewater
jechał z ojcem w ów ranek wśród wzgórz i wrzosowisk?...

Jest to wiersz Andrzeja Chciuka z wydawnictw
jubileuszowych na 100-lecie Y.M.C.A. o Jerzym Wil-
liamsie, założycielu Y.M.C.A. opisujący jego wyjazd
z rodzinnej fermy na praktykę do miasta. Miasto mia-
ło potem na zawsze zatrzymać Jerzego i tam miała
się zrodzić idea, która dziś łączy młodych ludzi wielu
krajów i wyznań.

Notatki reportera naukowego

PENICILLINA

Ubiegły rok zamknięty został trzema ważnymi wy-
darzeniami o bardzo dużym znaczeniu naukowym i
praktycznym, a mianowicie dwoma odkryciami i jednym
wynalazkiem. Są to najważniejsze wydarzenia nie tylko
roku; może całego dziesięciolecia, jeżeli nie więcej. O
jednym z tych odkryć i o wynalazku prasa codzienna
pisała szeroko i obficie, ale wyszukiwanie «najsensa-
cyjniejszych» cech nie zawsze, a raczej bardzo rzadko
może naprawdę ujawnić istotę i znaczenie zjawiska. O
drugim zaś odkryciu pojawiły się wiadomości w litera-
turze fachowej, to też pozostało ono całkowicie szer-
szej publiczności nieznane. Te dwa odkrycia, to **peni-
cillina i planety pozasłoneczne**, zaś wynalazek to **samo-
lot reakcyjny**. Dzisiejszą notatkę poświęcimy najistot-
niejszym wiadomościom o penicillinie, zestawionym
głównie na podstawie autorytatywnego wykładu jednego
z współodkrywców, prof. H. W. Florey'a, wygłoszonego
z początku grudnia ub. r. w Royal Institution.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że penicillina,
wbrew popularnym poglądom, nie jest środkiem bakte-
riobójczym. Nie jest to zatem żaden antyseptyk. Nowo-
czesna medycyna coraz niechętniej stosuje antysep-
tyki do leczenia, bowiem zabijają one nie tylko bakte-
rie, ale również leukocyty (białe ciała krwi), będące
najskuteczniejszym, bo celowo przez organizm kiero-
wanym antyseptykiem. Ponadto środki bakteriobójcze
potrafią uszkadzać żywe komórki tkanek, natomiast
stosunkowo niewiele szkody przynoszą sporom bakterii
chorobotwórczych (w tych rozcieńczeniach, w jakich
można je bezpiecznie aplikować).

Środki bakteriostatyczne, do jakich należą m. in.
penicillina, nie zabijają bakterii, ale skutecznie hamu-
ją ich rozwój, a więc zarówno rozmnażanie przez po-
dział, jak tworzenie spor. Ponieważ przy tym aktywność
leukocytów nie doznaje żadnej szkody, przeto mogą one
łatwo zniszczyć «obezwładnione» bakterie. Przy wszel-
kim bowiem zakażeniu najgroźniejszym zjawiskiem
nie jest jadowitość poszczególnych mikroorganizmów,
lecz dopiero połączenie tej jadowitości z szybkością roz-
mnażania. W warunkach pomyślnych bakteria rozmna-
ża się przeciętnie co 20 minut. Nie wydaje się to po-

zornie tak wiele póki nie obliczymy, że w ten sposób
z każdej pojedynczej bakterii w ciągu 24 godzin może
powstać astronomiczna liczba mikroorganizmów, a
mianowicie 2^{72} (co w przybliżeniu równa się 47 z dzie-
wíetnastu zerami).

Cały proces zwalczania choroby infekcyjnej polega
właściwie na tym, aby do ogniska zakażenia leukocyty
dostawały się w liczbie zdolnej pochłaniać bakterie pre-
dziej, niż mogą się one rozmnażać. Jeżeli przy tym bę-
dziemy pamiętać, że białe ciało krwi pochłonawszy
bakterię ginie, to łatwo zrozumiemy przebieg walki or-
ganizmu z zakażeniem, oraz znaczenie penicilliny, któ-
ra jest najpotężniejszym ze znanych dotychczas środ-
ków bakteriostatycznych. Jej aktywność jest zupełnie
niewiarygodna. Działa ona jeszcze w rozcieńczeniu na
pięćdziesiąt milionów!

Oczywista, odkrycie penicilliny nie nastąpiło nagle w
ubiegłym roku. Jest to wynik wielu lat usilnej pracy
całego zespołu uczonych, skierowanej na właściwą dro-
gę przypadkowym spostrzeżeniem dokonany w 1929
r. Prof. A. Fleming z londyńskiego szpitala St. Mary,
prowadząc badania bakteriologiczne, zauważył, iż sub-
stancja wydzielana przez rosnącą pleśń hamuje roz-
wój stafilokoków, bakterii należących do najbardziej
zjadliwych. Samo zjawisko niszczenia jednych mikro-
organizmów przez inne znane było już dużo wcześniej.
Opisał je w roku 1877 Pasteur, nazywając je antybiozą.
Od tego czasu zbadano bardzo wiele substancji anty-
biotycznych i w roku odkrycia penicilliny ukazała się
nawet obszerna praca naukowa, substancjom tym po-
święcona. Żaden jednak z tych środków nie znalazł
praktycznego zastosowania w medycynie, choć usiłowa-
no to czynić wielokrotnie.

Przypadek prof. Fleminga polegał na tym, że pleśń,
która dostała się z powietrza na jego hodowlę bakteryj-
ne należała do rzadkiego stosunkowo gatunku **Penicil-
ium notatum**, oraz że profesor zaczął to zjawisko badać
bliżej, zamiast zignorować je jako «dostatecznie» zna-
ne. Osobliwość zaś tego przypadku leży w tym, że anty-
biotyk wydzielany przez **Penicillium notatum** jest jedy-
nym (ze znanych do dziś dnia), który nie jest równo-

częśnie trujący dla organizmu. Odkrycie prof. Fleminga zainteresowało go głównie dlatego, że penicillina okazała się antybiotykiem skutecznym przeciwko stafilocokom i niektórym innym szczególnie groźnym dla człowieka mikrokom. Kilkoletnie jednak wysiłki tego uczonego, podjęte wspólnie z innymi (Clutterbuck, Lovell, Raistrick) nie zdołały doprowadzić do wydobycia czystej substancji z płynu (bulionu bakteriologicznego) w którym hodowano grzybnie pleśni. Stwierdzono jednak, iż penicillina jest zapewne substancją bardzo nietrwałą, tak że nie da się jej otrzymać w stanie względnie czystym, nadającym się do stosowania w medycynie. W ten sposób po trzyletnich wysiłkach praca nad penicilliną została zaniechana. Podjęto ją ponownie dopiero w sześć lat później, gdy prof. Florey wraz z d-rem Chain przystąpili do systematycznego zbadania różnych substancji antybiotycznych. W pierwszym rzędzie zajęto się substancjami, działającymi na bakterie chorobotwórcze, a więc «płocjanazą», odkrytą w r. 1899, oraz penicilliną.

Badania, prowadzone z całym dostępnym dzisiejszej nauce aparatem technicznym wymagały współpracy licznych uczonych. Poza wymienionymi już prof. W. H. Florey'em i dr. E. Chain'em brali w niej udział: dr. E. P. Abraham, prof. A. D. Gardner, dr. N. G. Heatley, dr. M. A. Jennings, dr. A. G. Sanders, dr. C. M. Fletcher, pani Florey wraz z obszernym zespołem lekarzy, bakteriologów, chemików i pracowników laboratoryjnych. Dopiero w ubiegłym roku łączne wysiłki tej znakomitej ekipy uczonych, prowadzone w Zakładzie Patologii uniwersytetu oxfordzkiego, doprowadziły do wydobycia trwałej substancji, zawierającej wprawdzie zaledwo 10-20 proc. czystej penicilliny, ale nadającej się już do badań klinicznych.

Ustalono zatem, iż wśród licznych bakterij, na które penicillina działa skutecznie są zarazki wywołujące ropień (Streptococcus pyogenes i Staphylococcus aureus), gangrenę (Clostridium welchii, septique i oedematum), dyfteryt (Streptococcus diphtheriae), zapalenie mózgu (Neisseria meningitis), zapalenie płuc (Streptococcus pneumoniae) oraz wiele innych, natomiast penicillina nie działa na zarazki cholery, dezenterii, gruźlicy. Penicillina może być stosowana bądź w zastrzykach podskórnych, czy domięśniowych, bądź w okładach, gdy bezpośrednio zakażona tkanka jest dostępna. Stosowanie doustne jest wykluczone, gdyż sok

żółdkowy rozkłada penicillinę. Niestety, dziś jeszcze penicillina jest produkowana w tak niewielkich ilościach, że stosowana być może dopiero w ostateczności, a więc gdy wszystkie inne środki zawodzą. Można jednak mieć nadzieję, iż stan ten zmieni się niebawem, bowiem w obu krajach anglosaskich całe legiony chemików i biologów pracują w laboratoriach zakładów naukowych i przemysłowych nad udoskonaleniem metod produkcji tego niezwykłego leku, tak, aby można go otrzymywać w stanie bardzo czystym, a przede wszystkim w dostatecznej ilości.

Podniecenie, zupełnie zresztą zrozumiałe, zainteresowania laików tym nowym a potężnym lekiem, spowodowało znaczną ruchliwość reporterów prasowych i w rezultacie doprowadziło do poważnego zamieszania przez ogłaszanie wiadomości o różnych innych substancjach antybiotycznych, których bardzo wiele znajduje się obecnie w badaniu. Do ich rzędu należy np. patulina, wydzielona z grzybni innej pleśni, Penicillium patulum w londyńskim Zakładzie Higieny i Medycyny Tropikalnej. Fama patuliny w szerokiej opinii publicznej zaczęła się od wiadomości, iż dr. W. E. Gye przypadkowo zastosował ten środek i otrzymał wyleczenie z influenzy. W rzeczywistości chodziło tu o zwykły katar, ale nawet w stosunku do kataru leczenie patuliną nie jest jeszcze klinicznie zbadane, tym bardziej, że jest to substancja wcale nie obojętna dla organizmu. Poza tym w różnych pismach amerykańskich ukazywały się wzmianki o wielu innych «cudownych» środkach tego rodzaju. Z różnych gatunków pleśni w istocie udało się wydzielić szereg substancji antybiotycznych. Istnieje zatem clavatina (Aspergillus clavatus), claviformina (z Penicillium claviforme), fumigatina (z Aspergillus fumigatus), kwas gigantowy (z Aspergillus giganteus) i wiele, wiele innych. Niektóre z nich są zapewne tylko różnymi nazwami, nadanymi tym samym substancjom przez różnych badaczy. Są one poddane badaniom, gdyż po pierwsze mogą wyjaśnić chemiczną i atomową budowę antybiotyków, co pozwoliłoby marzyć o ich syntezie, a poza tym, choć toksyczne, mogą one w pewnych wypadkach mieć znaczenie dla lecznictwa. Wszystkie te jednak badania są jeszcze w stanie dalekim od jakichkolwiek praktycznych wyników dla medycyny. Tak samo jak w przypadku penicilliny trudno spodziewać się, aby wyniki dały się osiągnąć bez wieloletnich badań całego zespołu uczonych.

SUADUS.

Czy wiecie, że...

... w krajach przemysłowych produkcja rolnicza, licząc na głowę ludności rolniczej, jest znacznie wyższa niż w t. zw. europejskich krajach rolniczych.

Znany ekonomista Ludwik Landau obliczył, biorąc pod uwagę lata 1926/27 — 1928/29 i ceny światowe za r. 1929, że n. p. w Niemczech roczna produkcja rolnicza wynosiła na 1 człowieka żyjącego z roli 2310 zł., w Anglii 2340 zł., nawet we Francji 1500 zł., podczas kiedy w Polsce tylko 700 zł., w Rumunii 750 zł., na Węgrzech 1110 zł. i t. d.

Jest to zjawisko zupełnie proste. W krajach uprzemysłowionych na roli siedzi ludzi stosunkowo mniej, poza tym duża ilość miast pozwala na produkcję płodów wysokoprocentowych. Co jest jednak ciekawsze, to fakt, że nie obniża się ogółem przez to produkcji rolnej w ogóle. I tak n. p. produkcja rolnicza w krajach wysoko rozwiniętych wynosiła przeciętnie na jednego mieszkańca 480 zł. (w Niemczech nawet 500 zł.), gdy w Polsce tylko 410 zł. Dodajmy, że gdyby wziąć do zestawienia ceny faktyczne, a nie ogólnoswiatowe, obliczenie byłoby jeszcze mniej korzystne dla krajów nieuprzemysłowionych, gdyż płody rolne były w nich tańsze.

Wioych, gdyż płody rolne były w nich tańsze.

Cyfry te są nie tylko ciekawe, ale i pouczające, bo wskazują jasno drogę naszego postępu.

... że Polska YMCA skończyła już niedawno 21 lat? Z Polski wyszła w 1939 r. razem z żołnierzem i uchodźcą cywilnym i pracuje i b. pracowała dla niego w Rumunii, na Węgrzech, we Francji, Anglii, Szkocji, na Bliskim i Średnim Wschodzie, w Afryce, we Włoszech, w Niemczech, Szwecji, Szwajcarii, Belgii, Holandii i t. d.

El. (Kazimierz Laskowski)

SZTANDAR

Nam jeden sztandar przed innemi,
Nam jeden sztandar, jeden śpiew!
Sztandarem gródka polskiej ziemi,
Pieśnią --- praoców myśl i krew!
Nam jeden sztandar nad sztandary!
Nam jeden pasterz : --- praca, trud!
Jedna wyznaczenie wspólnej wiary : ---
Ojczyzna ! Naród ! Wolność ! Lud !

SIŁACZE POLSCY

Wszyscy bez wyjątku mamy uznanie dla siły. Muskularna budowa ramion oraz atletyczna i harmonijna budowa ciała wprawia w podziw tłumy widzów. Sportami, najwięcej uwidoczniającymi siłę ludzką są zapasy i boks.

Zapaśnictwo, popularnie zwane walką francuską, obejmuje dwa style walki: styl grecko-rzymski wolny, dopuszczający używania pewnych chwytów poniżej pasa, nie niebezpiecznych dla przeciwnika, oraz styl wolny amerykański, dopuszczający wszelkich chwytów nawet groźnych dla przeciwnika.

Boks czyli walka na pięści znana była w czasach starożytnych, w Grecji, pod nazwą pugilatu. Ojczyzną dzisiejszego boksu jest Anglia, gdzie początki boksu znajdujemy w 14 wieku. Zasady tej walki uległy wiełu przemianom. Dziś bokserzy nie owijają już rąk rzemieniami z żełazem, jak w czasach starożytnych. Nawet popularna w czasach nowożytnych walka na gołe pięści została wzbroniona. Dzisiejsze przepisy regulujące walkę bokserską, nakazują walkę w rękawicach wypchanych włosiem, aby uderzenia nie były zbyt bolesne.

Zapasy, podobnie jak boks, są ćwiczeniami wszechstronnymi, wzmacniającymi ręce, nogi, tułów, wyrabiającymi odwagę, pewność oka i ręki. Są miłym sportem, o ile nie przechodzą w brutalność.

Wśród siłaczy mamy i Polaków, którzy, jeśli nie zastąpili w boksie, to jednak w zapaśnictwie zajmują czołowe miejsce.

Nietylko w czasach obecnych słynie Polska z zapaśników. Słynęła już za dawnych czasów, a ówczesni siłacze może wielokrotnie przewyższali siłą dzisiejszych zapaśników. Zaczniemy od najwyższych dostojników nawy państwowej. Wśród nich wymienić należy króla Zygmunta I. Podobnie jak silne były jego rządy, tak silna była jego dłoń. Król z łatwością łamał podkowy, naciągał kusze, przedzierał talie kart i zrywał grube postronki. Siła jego wzbudzała podziw wszystkich.

Następnym z władców polskich, który odznaczał się siłą, za co zyskał przydomek Mocnego, był August II Sas. W rządzeniu państwem był przeciwieństwem króla Zygmunta I., stając się poniekąd jedną z głównych przyczyn upadku Rzeczypospolitej. Król ten podnosił małą armatkę w rękę jak pistolet, a jak powiadają naoczni świadkowie, jednym cięciem miecza uciął głowę bykowi.

Obaj królowie ustępowali jednak w sile innym siłaczom. W 14-yim wieku, za czasów Kazimierza Wielkiego, żył i cieszył się wielką popularnością syn wojewody mazowieckiego — Stanisław Ciołek. Był on swego rodzaju wyjątkiem, którego sile nikt nie mógł się oprzeć. Był groźny dla każdego przeciwnika i bardzo często wyładowywał swą siłę i krewkość. Jako młodzieniec potrafił unieść w górę jedną ręką mężczyznę, którym potem rzucał jak pieczką. Gdy pewnego razu młody Ciołek przybył do Krakowa i zobaczył jak robotnicy z trudem wciągają dzwon na jedną z wież kościelnych, oddał robotników i sam wziął dzwon za ucho i zaniósł na wieżę kościoła. Gdy był

mężczyzną w sile wieku, brał udział w walkach z najtęższymi siłami Europy. W Pradze czeskiej, dokąd Ciołek przybył z Kazimierzem Wielkim, walczył z niepokonanym przez niego Czechem. Uściski Ciołka były tak okropne i silne, że przeciwnik ich nie wytrzymał. Walka zakończyła się tragicznie — śmiercią Czecha. O tym samym Ciołku opowiada jedna z anegdot, że pewnego razu, gdy powrócił z polowania do domu silnie zakurzony, udał się do łaźni, by zażyć kąpeli. Łaźnię zastał zamkniętą. Kapał się w niej bracia, którzy w dodatku zabawiali się w ciepłej wodzie ze sługami. Ciołek zniecierpliwiony długim czekaniem, pochwycił narożnik drewnianego budynku i przewrócił go, odkrywając kąpiących się. Ciołek, który bez trudu rwał postronki, sznury, łamał podkowy jak pierniki, zginął w bitwie pod Włodzimierzem Wołyńskim, napadnięty przez horde tatarską.

Z kolei z grupy dawnych siłaczy należy wymienić kasztelana zakroczymskiego, Stanisława Radzymińskiego. Ten to kasztelan unosił w ręce najtęższego chłopca i bujał nim, niby niemowlęciem. Rozhukanego, nieokiełzanego rumaka uśmierzał, trzymając go tak długo, dopóki sługa nie nałożył udy. Koń, zmęczony bezowocnym szamotaniami z kasztelanem, szedł następnie spokojnie jak baranek. Do rzędu siłaczy należy zaliczyć dworzanina Zygmunta I., Wojciecha Brudzińskiego, który, gdy się uchwycił belki w bramie wjazdowej, podnosił nogami konia, na którym siedział.

Mężczyzną „o stalowej głowie” był Wojciech Chodzicki, żyjący u schyłku wieku 16-go i na początku 17-go. Wytrzymywał na najcięższe uderzenia, a sam z łatwością rozbijał najgrubsze dębowe drzwi i wysadzał głową bramy z zawiasów.

Wyjątkowym siłaczem był również kaznodzieja proboszcz bohotnicki, Druszkowski. Rozgniewany ciągłym wpuszczaniem mu do ogrodu cudzych koni, połapał pewnego dnia wszystkie rumaki i jednego po drugim przerzucał przez wysoki mur, okalający ogród.

Za Augusta II Mocnego słynął z siły regimentarz Marcin Cieński. Pewnego dnia pozakręcał on na szyi dwóch strażników królewskich dwie szlaby żelazne, które napróżno starano się odkręcić, a nawet przeciąć przy pomocy zawezwanego kowala. Tylko interwencja regimentarza uwolniła obu strażników z wiążącego ich jarzma.

Nie tylko mężczyźni słynęli w owych czasach z siły. Również płeć piękna miała doskonałą przedstawicielkę siły. Była nią córka regimentarza Cieńskiego, która kłócących się w jej domu szlachciców powyrzucała przez okno do ogrodu.

Z dalszych siłaczy wymienić należy Teodora Lackiego, który w Wenecji łamał rękoma kark rozjuszonym bykom, i chłopca z czasów króla Stanisława Leszczyńskiego, Jana Kopczaka, wyciągającego z łatwością z błota kolase, której nawet cztery konie nie były w stanie wydobyć.

Powyżej przedstawiliśmy siłaczy Połski przedrozbiorowej. W późniejszych czasach Polacy słynęli z siły. W kategorii siłaczy współczesnych należy wymie-

nię Pytłasińskiego oraz Stanisława Zbyszka Cyganiewicza. W czasach obecnych zaś imieniu Polski dobrze się przysłużyli — Władysław Zbyszko Cyganiewicz, Stecker i Bronowicz.

Pytłasiński był piekarzem z zawodu. Karierę swoją rozpoczął w 80-tych latach ubiegłego stulecia. Początkowo występował na rzadkich imprezach zapaśniczych, przeważnie w Małopolsce. Po uzyskaniu pewnego rozgłosu wyjechał zagranicę. Początkowo występował w Niemczech, skąd po pewnym czasie wyjechał do Ameryki, gdzie tego rodzaju widowiska cieszyły się wielkim powodzeniem. Po kilku latach, dorobiwszy się grosza, powrócił do kraju. Był nauczycielem starszego Cyganiewicza.

Przed wojną (1914) zapasy — czyli t. zw. walka grecko-rzymska cieszyły się olbrzymim wzięciem. Ani jeden cyrk, choćby z najbardziej sensacyjnymi atrakcjami, nie mógł liczyć na pełne powodzenie, o ile nie organizował zarazem walk zapaśniczych. „Szampioni” krajów ze wszystkich możliwych długości geograficznych byli magnesem dla tysięcy widzów, pchających się pod namioty cyrku. To też przed wojną (1914) nazwisko Pytłasińskiego w Polsce znało każde dziecko.

Stanisław Zbyszko Cyganiewicz był uczniem Pytłasińskiego i podobnie jak jego nauczyciel, słynął w Europie i Ameryce. Występy jego ściągały niezliczone tłumy widzów. Wojna światowa zastała starszego Cyganiewicza w Rosji. Po wojnie, w roku 1920 wraca Stanisław Cyganiewicz do Ameryki. Natychmiast udaje się na ring i zdobywa zaszczytny tytuł mistrza świata. Stanisław Cyganiewicz nie tylko słynął z zapasów grecko-rzymskich, lecz wyróżniał się również w walce wolno-amerykańskiej, czy i catch as catch can’ie. Specjalistą jednak w tym rodzaju walki okazał się młodszy z braci Cyganiewiczów — Władysław. Wyjechał on z Polski w roku 1913. Pierwszy jego występ był w Paryżu. Stolica Francji stała się też pierwszym szczeblem do jego wielkiej kariery. Władysław Cyganiewicz opuszcza Paryż z tytułem mistrza świata i udaje się do Ameryki. Polak przybywa do Nowego Jorku w czasie, gdy na ringach króluje niepokonany od wielu lat Franc Gotch. Amerykanin obserwuje Polaka, jego pracę na arenie i w końcu nie przyjmuje wyzwania do walki o najwyższy tytuł. Amerykańska Unia zapaśnicza odbiera wówczas Gotchowi zaszczytny tytuł i przyznaje mistrzostwo Władysławowi Cyganiewiczowi. W czasie swego pobytu w Ameryce, Władysław Zbyszko Cyganiewicz staczał w roku co najmniej 200 walk.

Z chwilą powrotu do Ameryki brata Stanisława, który pierwszy rozstawił imię Cyganiewicz po świecie, Władysław Zbyszko usuwa się w cień, dając napowrót pole do popisu bratu. Stanisław, jak już wyżej zaznaczyliśmy, zdobywa tytuł mistrza świata. Gdy go stracił na rzecz Amerykanina Munna, pojawia się znów na widowni Władysław Zbyszko, który odbiera mistrzostwo świata Amerykaninowi, zdobywając je napowrót dla rodziny Cyganiewiczów.

Z dalszych zapaśników polskich ostatnich czasów, którzy się wyróżnili, należy wymienić Bronowicza, zamieszkałego w Ameryce. We Francji walczył on w Paryżu i Lille, wszędzie jednając sobie sympatię publiczności, która entuzjasmowała się jego występami. Bronowicz zdobył sobie we Francji miano zapaśnika-dzielnika.

Do rzędu wybitniejszych zapaśników polskich, zna-

nych na kuli ziemskiej, należał Stecker, pochodzący z Warszawy.

Poza wyżej wymienionymi posiada Polska jeszcze wielu innych zapaśników, których natura wyposażała w ogromną siłę.

Refleksje...

Kiedys w pamiętniku pisałem tak:

«Ogarnia mnie nieraz dziwna tęsknota. Tęsknota za przygodą... Majaczą się się dalekie kraje podzwrotnikowe, z palmami, z dziewiczym lasem i z tubylcami, co tańczą przy ponurych tam-tam’ach, a wielkie śmieszne koleczyki w uszach i w nosach trzęsą się rytmicznie...»

Majaczą mi się chińskie dzonki w świetle pyzatego księżycy... Wielkie żaglowce na niezmiernych wodach oceanów... Stają mi przed oczyma wyrosłe sylwetki ludzi z Far-West’u w skórzanych «legginach» i z rewolwerami w pochwach... Słyszę strzały, tętent koni, brzęk szkła... jęki rannego... Widzę po piasku pustynnym maszerujących żołnierzy legii cudzoziemskiej...»

Tęsknota za przygodą... Ta przygoda to tak jak dziecizna wysoka, zgrabna, o niebieskich oczach i karminowych ustach, uśmiecha się zagadkowo, a człowiek skoczyłby jak piorun, chwycił ją w ramiona, całował z całych sił...

Dla mnie przygoda to pełnia życia... A przecież nie to jest ważne, czy będę bogatym czy biednym, szanowanym czy uczonym — ale to, czy znajdę pełnię życia...

I czasem ogarnia mnie strach, który sęczy swój jad po kropelce do serca: że przygoda przejdzie koło mnie, a to byłoby straszne...

Ja nigdy nie potrafiłem zrozumieć tych ludzi, dla których dom, żona, fotel, fajka, pantofle są całym «senssem życiowym» i pragnieniem... Rozumiem za to doskonale tych, dla których pełnia życia to nauka. Tylko ta wielka Nauka (przez duże N). Bo dla mnie Nauka to też przygoda i to pasjonująca przygoda... Tylko, że ja czuję się za słabym i niegodnym... Nauka, to coś tak potężnego, coś tak wielkiego — a ja przy Niej taki małutki człowieczek... że aż przykro i smutno... Kiedys ktoś mi powiedział: Pełnię życia znajdziesz — mój drogi — u siebie, w sercu...

Na początku nie chciało mi się wierzyć — ale potem myślałem, długo myślałem... I zrozumiałem, że nie koniecznie trzeba szukać szczęścia na pustyniach afrykańskich, polując na bawoły czy antylopy, albo zwiedzając Indie czy wyspy hawajskie... Można je znaleźć o wiele bliżej...

W. NASIŁOWSKI

ADRESY POLSKIEJ YMCA W PARYŻU

BIURO GŁÓWNE:

47, rue Cardinet, Paris XVII, metro: Wagram.
Tel.: WAG 65-39, CAR 72-32.

KURSY KORESPONDENCYJNE:

4, rue Leverrier, Paris VI, metro: Vavin.
Tel.: ODE 72-15.

KANTYNA i ŚWIETLICA:

Casernes Bessieres, Bd. Bessieres, Paris XVII.
Métro: St. Ouen. Tel.: MAR 35-13.

KLUB POLSKIEJ YMCA:

4, rue Leverrier, Paris VI, metro: Vavin.
Tel.: ODE 72-80.

Żołnierskie szkoły powszechne

Niemal od pierwszych chwil po przekroczeniu przez II DSP granicy szwajcarskiej, rozpoczęła się wyteżona praca oświatowa, prowadzona w różnych kierunkach.

Miedzy innymi typami kursów rozpoczęto w wielu obozach nauczanie analfabetów oraz nie znających dobrze języka polskiego wychodźców z Francji i innych krajów. Po dwóch latach tej pracy można było przystąpić w jesieni 1942 roku do zakładania kursów, których zadaniem jest nauczanie w zakresie wyższych klas szkoły powszechnej trzeciego stopnia.

Komitet Kulturalno-Oświatowy DSP wspólnie z YMCA przystąpił do organizacji tych kursów od podstaw. Powołano więc komisję programową w celu opracowania programu nauczania, wyłoniono komitet redakcyjny podręczników, wreszcie zorganizowano dwutygodniową konferencję informacyjną dla przyszłych instruktorów, mających nauczać na tych kursach.

O istotnej potrzebie założenia żołnierskich szkół powszechnych świadczy szybki ich rozwój. Już w kilka dni po zakończeniu konferencji dla instruktorów powstaje pierwszy kurs wieczorowy w dniu 6 listopada 1942 roku. W tymże miesiącu powstaje w różnych obozach jeszcze 10 kursów. W grudniu 1942 r. było już 35 kursów. Najwięcej kursów, bo 42 — było w kwietniu 1943 roku. Największe nasilenie uczniów wyraziło się w lutym 1943 r. liczbą 703.

Kursy wieczorowe pracują w ciężkich warunkach, gdyż nauka odbywa się w godzinach wieczornych po pracy. Duży zapał uczniów pozwala żywić nadzieję, że nie ustaną oni w drodze do zdobycia wiedzy i wytrwają do chwili, kiedy będą mogli poddać się egzaminowi z zakresu pełnej szkoły powszechnej.

Osobną kartę w dziejach kursów ma Centralny Kurs Szkoły Powszechnej w Pfaeffikon, otwarty w dniu 2 grudnia 1942 r., na którym 96 żołnierzy w drodze normalnej, całodzienniej nauki przepracowało zakres wiadomości przewidziany dla trzech najwyższych klas szkoły powszechnej. 88 spośród tych uczniów-żołnierzy uzyskało w dniu 30 maja 1943 roku świadectwa ukończenia szkoły powszechnej III stopnia, które dają pełne, ustawą przewidziane prawa.

W celu zapewnienia tym kursom sprawnej działalności, powołany został do życia inspektorat kursów ogólnokształcących, w którym skupiają się nie organizacyjne wszystkich działań pracy kursów, a więc nadzór pedagogiczny, sprawy administracyjne i finansowe, jako też zaopatrywanie w podręczniki, pomoce naukowe i materiały piśmienne. Mieści się tam również redakcja czasopisma «Biuletyn

informacyjny», wydawanego dla instruktorów. Przy inspektoracie ma też swoją siedzibę Komisja Egzaminów Nadzwyczajnych.

Biorąc pod uwagę, że każdy uczestnik kursu otrzymuje bezpłatnie wszystkie bez wyjątku pomoce i przybory szkolne, poczynawszy od ołówka i zeszytu, a kończąc na książce do nauki i pomocniczej lektury, jak nie mniej stwierdzając, że same kursy są wyposażone we wszystkie potrzebne urządzenia szkolne, jak tablica, mapy — m. in. wydana w Szwajcarii przez YMCA fizyczną mapę Polski —, czy też skrzynki-laboratoria do nauki chemii, przyjąć należy, że na tym odcinku został dokonany wielki wysiłek, który przekraczał wielokrotnie finansowe możliwości internowanych. Dlatego cała ta na tak dużą skalę zakrojona praca mogła być podjęta tylko przy uzyskaniu odpowiedniej pomocy finansowej. Zagadnienie to zostało w całości rozwiązane przez organizację YMCA, która obejmując opiekę nad kursami, podjęła się całkowitego sfinansowania tej akcji szkolnej, dodając jeszcze ten ważny przyczynek do tylu już dawniej przeprowadzonych prac dla dobra internowanych.

Podkreślić należy przytem bardzo przychylne ustosunkowanie się do tego zagadnienia szwajcarskich Władz Internowania, które udzielają swej pomocy w dziedzinie organizacyjnej, a nawet zadeklarowały duży współudział w pokryciu kosztów prowadzenia kursów.

Tadeusz Przestalski.

Poza kursami początkowego nauczania i kursu z zakresu 7 kl. szkoły powszechnej zorganizowała YMCA Szkołę Rzemiosł w Toess (107 świadectw ukończenia w 1944 r. i 137 uczestników obecnie), Kursy Samochodowe, Kurs Krawiecki w Bueren, Kurs Pisania na Maszynie, Kursy Introductory i Stolarskie w Muenchenbuchsee i Kursy Języków Obcych (2000 uczestników). Oprócz jeszcze Kursu specjalnego dla 21 lekarzy wojskowych w Genewie, prowadziła YMCA następujące kursy praktyczne: spółdzielczo-handlowy, elektrotechniczny, rolniczy i kaligrafii (łącznie 200 uczestników). Ponadto zorganizowała YMCA kurs nauczycielski dla 70 uczestników i dla 700 osób dla prowadzenia pracy w świetlicach obozowych.

Wszystkie kursy zaopatrywała YMCA w potrzebne materiały (zeszyty, ołówki, mapy), wydając ponadto 22 podręczników z różnych zakresów, a opracowanych przez żołnierzy II DSP.

Pięcioletni prawie bilans YMCA dla 2 Dywizji Strzelców Pieszych — to pozycja bardzo dodatnia, z której YMCA może być dumna. Czasu internowania nie zmarnowano.

Akcja odczytowa Polskiej Y.M.C.A. w Paryżu

W Bibliotece Polskiej w Paryżu

w czasie od 2 grudnia 1944 do 2 czerwca 1945 r.

Dział Naukowy Polskiej YMCA we Francji urządził w Paryżu trzydzieści dwa odczyty w tym półroczu.

Odczyty te zorganizowane zostały na wzór powszechnych wykładów uniwersyteckich, urządzanych od lat kilkudziesięciu przez Uniwersytet Jagielloński. Obejmują one najróżnorodniejsze tematy, przedstawione na wysokim poziomie przez ludzi najbardziej kom-

petentnych, jacy są do dyspozycji, i liczą się z zainteresowaniami najszerszych sfer oświeconej publiczności.

Odczyty Polskiej YMCA, jakkolwiek w swej kolejności objęły na pozór tematy od siebie odległe, pomyślane zostały w ten sposób, aby w kilku zespołach, wiążących się ze sobą treściowo, dać słuchaczom pewną sumę systematycznych wiadomości. W ten sposób słuchacze mogli odbyć skrócony wprowadzić bardzo, ale pouczający kurs kilku fragmentów nauk historycznych, geogra-

ficznych, politycznych, literackich i t. d. Ilustruje to następujące zestawienie:

I.

TEMATY HISTORYCZNE

7 odczytów

1. Prof. Henri de Montfort — La politique polonaise de la France de 1793 à 1830.
2. Dr. Marek Korowicz — Wielka Emigracja — fragment stosunków polsko-francuskich (1830-1870).
3. Dr. Witold Kozłowski — Ziemia i człowiek.
4. Dr. Olgierd Zdrojewski — Polskie pamiątki w Paryżu.
5. Dr. Witold Kozłowski — W gdańskim zwierciadle.
6. Dr. Zofia Korwin-Piotrowska — Polacy i Rewolucja Francuska — Tadeusz Leszczye-Grabianka.
7. Allan Kosko — Kraj w roku 1944.

II.

PROBLEMY TERYTORIALNE POLSKI

(ze szczególnym uwzględnieniem Śląska i Prus Wsch.)

7 odczytów

1. Józef Zieliński — Prusy Wschodnie.
2. Mgr. Jerzy Jankowski — Opis Prus Wschodnich.
3. Jerzy Jankowski — Mazury i Warmia — Polacy w Prusach Wschodnich.
4. Dr. Czesław Chowaniec — Problem terytorialny Polski w dziejach.
5. Stanisław Kudlicki — Górny Śląsk w polskich celach wojny.
6. Dr. Marek Korowicz — Górny Śląsk — ziemia i ludzie.
7. Dr. Marek Korowicz — Problemy Górnego Śląska.

III.

**ZAGADNIENIA POLSKI
GOSPODARCZE I EMIGRACYJNE**

5 odczytów

1. Prof. Bol. Przeglasiński — Polacy w świecie.
2. Władysław Nowiński — Emigracja polska w Ameryce Południowej.
3. Prof. Dr. Adam Rose — Elementy równowagi w gospodarstwie polskim. Cz. I.
4. Prof. Dr. Adam Rose — Elementy równowagi w gospodarstwie polskim. Cz. II.
5. Prof. Dr. Adam Rose — Elementy równowagi w gospodarstwie polskim. Cz. III.

IV.

WOJSKO POLSKIE W TEJ WOJNIE

3 odczyty

1. Red. Roman Fajans — Polacy na Środkim Wschodzie i we Włoszech.
2. Pułk. Maria Leśniakowa — Pomocnicza służba wojskowa kobiet.
3. Dr. Olgierd Zdrojewski — 150 lat wojska polskiego we Francji.

V.

ZAGADNIENIA POLITYCZNE I PRAWNE

5 odczytów

1. Henryk Korab-Kucharski — Podśluchy niemieckich zwierzeń.
2. Dr. Marek Korowicz — Problem zabezpieczenia Pokoju Świata.
3. Dr. Ludwik Frendl — Demokracja we współczesnych konstytucjach.
4. Mgr. Karol Stadnicko — Istota państwa współczesnego.
5. Mgr. Norbert Fiałkiewicz — Przełomy w życiu narodów.

VI.

SZTUKA I LITERATURA PIĘKNA

5 odczytów

1. Irena Gałęzowska — Cyprian Kamil Norwid — poeta przyszłości.
2. Franciszek Black — Technika w rzeźbie.
3. Dr. Jan Brzękowski — Nowa poezja francuska.
4. Franciszek Black — Linia w rzeźbie.
5. Dr. Witold Kozłowski — Litwa jak zdrowie.

Akcja odczytowa rozwija się bardzo pomyślnie. Frekwencja słuchaczy zależna była od szerokości i popularności tematu każdego odczytu, lecz naogół należy ją uznać za bardzo zadowalającą, skoro wahała się w omawianym okresie od 30-tu do 120-tu osób, a przeciętną można określić na 70 osób. Fakt ten zasługuje na podkreślenie tym bardziej, że zaproszenia były rozsyłane tylko raz na miesiąc, obejmując miesięczny program naszych sobotnich odczytów. Ze szczególną przyjemnością wypada stwierdzić, iż wśród słuchaczy znalazła się znaczna ilość członków starej inteligencji emigracyjnej, którzy wielokrotnie wyrażali organizatorom swą wdzięczność za danie im możliwości systematycznego słuchania dobrego słowa polskiego, mówiącego o zagadnieniach polskich.

Akcja odczytowa podjęta zostanie na nowo po feriach letnich.

M. K.

Miedzy nami

Polska YMCA we Francji z prawdziwą radością dzieli się ze swymi Współpracownikami, Przyjaciółmi i Sympatykami wiadomością o powrocie kolegów-imkarzy z obozów koncentracyjnych w Dachau i Buchenwald. Ostatnio powrócili pp. dr. Tadeusz Schneider, kierownik Ogniska w Tuluzie i kierownik działu Opieki nad Internowanymi, Rudolf Chwiałkowski, sekretarz Centrali i Biura w Lyonie i inż. H. Janowski, wykładowca na Kursach Rolniczych w Sicardoux. Na teren Francji wrócił też ostatnio z obozu w Niemczech p. dyr. Gustaw Zieliński, członek Komitetu Doradczego Polskiej YMCA we Francji. O losie dalszych wywiezionych Imkarzy narazie brak wiadomości.

Mieliśmy też radosną okazję witać na terenie naszej pracy uwolnionych z obozów niemieckich pracowników Polskiej YMCA w Kraju — pp. Juliana Klejnowskiego-Karpowicza, Zbigniewa Bojanowskiego i Henryka Krasnodębskiego, z Warszawy.

Witając Ich wszystkich cieszymy się, że Opatrzność pozwoliła im przetrwać koszmar obozów, a im wyrażamy proste i mocne słowa uznania, że godnie, nawet w godzinach najcięższych reprezentowali honor Polaka i Imkarza.

×

Zbigniew Bojanowski, pracownik Polskiej YMCA w Warszawie, zawiadamia przyjaciół o swym przybyciu z obozu do Francji. Do 10. 1. 1945 r. byłem w ścisłej łączności z pracownikami Ogniska Warszawskiego w Krakowie. Pp. Zofia i M. Wrońscy, Wład. Janiszowski, Andrzej Krasicki, Z. Danowski, K. Lewandowscy cieszyli się w tym czasie dobrym zdrowiem. Polska YMCA, Paris (17), 47, rue Cardinet.

×

Pan Repeczko, wicedyr. Banku Handlowego w Warszawie, który w 1939 roku wyjechał z kraju, jest poszukiwany w celu podania wiadomości od rodziny przez Zb. Bojanowskiego. Polska YMCA, Paris (17), 47, rue Cardinet.

Młodzież pracuje...

GIMNAZJUM POLSKIE W VILLARD DE LANS

W czwartek, dnia 3 maja b. r. młodzież Polskiego Gimnazjum i Liceum w Villard de Lans uczciła wierne rocznicę święta narodowego.

O godzinie 9 rano, w miejscowym kościele odbyło się uroczyste nabożeństwo, w którym wzięło udział grono Profesorów, Pracownicy Administracji i cała młodzież. Ks. Czajka wygłosił piękne kazanie w duchu patriotycznym.

O godzinie 11,00 odbyła się uroczysta Akademia 3-Majowa, urządzona przez samorząd szkolny z wielkim wkładem pracy i poświęcenia pani prof. Stefanowicz i pani prof. Łukasiewicz.

Dekoracja, której poświęcił kilka nieprzespanych nocy i włożył w nią tyle trudu kol. Brodnicki, była efektowna i nastrojała umysły zebranych.

Na ogromnej karcie Polski leżała otwarta księga dziejów. Jedną z kart historii, na której widniała data konstytucji 3-go Maja, przykrywały karty minionych lat. Na świeżo zaś otwartej widział duży znak zapytania, a z głębi wypływał twardo odznaczający się rok 1945.

Uroczystość rozpoczął chór mieszany z uczniów i uczennic tuż. Zakładu pod świetnym kierownictwem p. dyrektora Bergera — pieśnią «Gaude Mater Polonia».

Następnie kol. Zdzisław Piś wygłosił odczyt o Konstytucji 3 Maja (który był stosunkowo długi, bo trwał 40 minut). Odczyt był rzeczowy i jasny i mimo swojej rozciągłości budził zainteresowanie wśród młodzieży.

Prelegent zakończył wezwaniem do młodych: «byśmy owiani tym świetnym zwycięstwem polskiego rozumu politycznego, jakim była Konstytucja 3-go Maja, twardo i mocno rzucili światu w twarz: «Jeszcze Polska nie zginęła!»

Po skończonym referacie młodzież pochwyciła samorzućnie różną melodię mazurka: «Witaj majowa jutrzeńko».

W dalszym ciągu nastąpiła inscenizacja, złożona z chóralnych recytacji, w której wzięła udział młodzież 3-iej klasy. Inscenizacja mimo tremy młodych «aktorów» udała się w zupełności dobrze.

Pierwsza licealna wystąpiła z obrazem scenicznym, przygotowanym własnymi siłami. Na baczniejszą uwagę zasługuje postać Wojny, którą to rolę odegrała z wzięciem się i wczuciem koleżanka Prótkówna Krystyna. Trzeba dodać, że uroku, oprócz świetnej dykcji, dodał jej piękny strój.

Naogół obydwie inscenizacje wypadły dobrze, a przez to akademia była również udana w zupełności. Na zakończenie odśpiewano wspólnie hymn narodowy.

«Z».

Z.H.P. W ROSIERES

Drużyna harcerska z Rosieres (Cher) wznowiła swą działalność od stycznia b. r. Choć napotyka ona na wielkie trudności, chłopcy i dziewczęta rwą się z zapałem do pracy dla dobra ogółu.

Harcerski zespół taneczny i teatralny został zorganizowany przez drużynowego Mroźka Mariana i półtora miesiąca później występuje po raz pierwszy w Chateaufort sur Cher na rzecz sierot Warszawy. Sala była przepełniona. Wielki sukces odniosły tańce w strojach krakowskich i szlacheckich, tak że ludność francuska i kilku rodaków, którzy się tam znajdowali, opuścili salę z pełnym zadowoleniem. Trzy tygodnie upłynęło

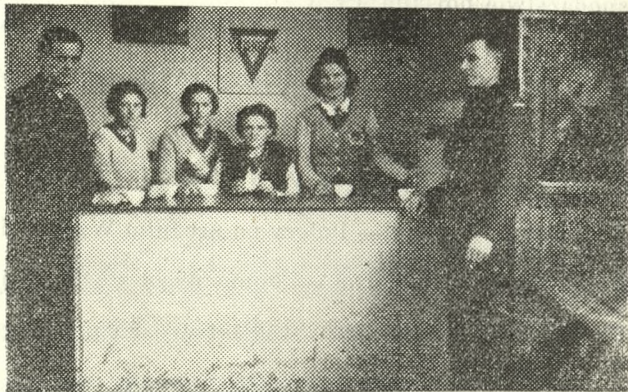
— i drugi występ z naszym ukochanym Rosières. Odbył się on wspaniale. Z ogromnym zadowoleniem nasi Rodacy opuścili salę. Po tych dwóch występach zespół odsyła na sieroty Warszawy sumę 5.000 fr. (pięć tysięcy franków). W dwa tygodnie później został zaproszony na dwa występy przez Komitet francuski w Grand Malleray (dep. Cher) na rzecz jeńców. Jeszcze jeden sukces tych młodych artystów. Oficerowie z armii gen. Leclerc gratulowali naszym tancerkom i tancerzom. W dwa dni później nasi młodzi artyści wyjeżdżają do Montlucon (dep. Allier), gdzie wystąpią na rzecz jeńców, bardzo gościnnie przyjmowani przez naszych Rodaków z tego miasta. Co do występu — wszystko poszło jak najlepiej, choć Francuzi nam dali tylko godzinę występu. Dyrektor teatru z Montlucon bardzo był zadowolony, że tak uświetniliśmy ich występ.

Niech wszyscy Rodacy będą dumni, że młodzież polska z Rosieres sama się zorganizowała i pracuje dla dobra ogółu.



Zespół harcerski w Rosieres

KANTYNA POLSKIEJ YMCA W LILLE



W łoszarach Plein Air Foto Szczapa

Poradnik techniczny

Wykorzystanie niniejszego numeru w pracy oświatowej aż «się samo prosi». Obchodami, jakie powinniśmy urządzić w tym siesiacu są: święto Matki, przeniesione we Francji z ostatniej niedzieli maja na czerwiec i święto Morza (29. VI.). W numerze tym znajdzie pracownik oświatowy artykuł T. Szadkowskiego (z agencji świat-

pol) «To zawdzięczam mej matce». Podnosi on właśnie najpiękniejsze cechy Matki-Polki. Uzupełnieniem mogą być wiersze z poprzednich numerów «Razem» (n. p. wiersz Chciuka «Matka» z nr. 5-6 z 1.-15. XI. 44) lub jeszcze ze starszych wydawnictw YMCA (Zbiór wierszy cz. I i II). Krótki taki oheód, gdzie byłyby ze dwie deklamacje, króciutka pogadanka, odczytanie artykułu z numeru niniejszego i parę piosenek (n. p. «O mamó otrzyj oczy», «Matczyne ręce», tango «Matka» i tp.) — byłby skromnym hołdem Matce każdego z nas i wspólnej Matce-Polsce.

Święto Morza urządzone na podstawie materiałów z nr. 3-4 (11-12) plus wiersze z numeru przedostatniego (Woś Budzysz), śpiew Marynarzy z kwietniowego, plus stare materiały YMCA (Święto Morza i Zbiory wierszy) — powinno podnieść znaczenie morza dla Polski i powrót wybrzeża i Prus Wschodnich do odbudowującej się Polski. Byłyby to momenty najistotniejsze.

Cały numer, to przebogaty materiał do odczytów, pogadarek i żywych dzienników — zależnie od poziomu środowiska: od artykułów wstępnych do środka numeru. Na 101-lecie YMCA wartoby urządzić mały kominek. Można zrobić też wieczory n. p. poezji jenieckiej, kominek poświęcony obozom koncentracyjnym i t. p. gdzie materiały zamieszczone w tym numerze uzupełnione wspomnieniami ludzi z Ogniska i pieśniami lub muzyką, o co przy dobrej woli nie trudno — dadzą w sumie niezły program, wnoszący dużo urozmaicenia w życie Ognisk. Nie zapominajmy też o wieczorach humoru. Humor, uśmiech i piosenka — to, szczególnie w dzisiejszych czasach — oddech i nabranie sił do ostatniego etapu przetrwania — powrotu.

M.

LISTY DO REDAKCJI

(Nadesłane od jednego z przyjaciół z Anglii)

Na każdym czasopiśmie napis: «Świetlica — nie zabierać!»

Tym razem «zabrałem». — Schowałem do kieszeni — i nie mam wcale zamiaru «oddawać»...

Jakim cudem dostał się do naszej świetlicy ten styczniowy numer «Razem ... młodzi przyjaciele»?!

Gdzie Paryż, a gdzie Croughton?! Odrzuć uderzył mnie nagłówek, którego jeszcze nie widziałem: «Czasopismo Polskiej YMCA we Francji».

Pewien byłem, że coś będzie, coś... Twojego!

W dziwnym podnieceniu — przerzucałem nerwowo kartki...

... Jest!

«Uśmiech w lustrze» i «Poezjo».

«Rzecz tak skomplikowana a tak bardzo prosta dokonała się we mnie. — Już nic do mnie nie mów...»

A z przeciwnej strony patrzy na Twoje dwa wiersze «Chochoł». Zakochanie artykułu: «Nadchodzi wymarzona wiosna — Nie może jej przeszkodzić żaden — chociażby najzłośliwszy chochoł...»

Właśnie na chwilę przestał padać deszcz — mundur mam jeszcze mokry.

Przyszedłem tutaj do baraku z «Razem» w kieszeni.

«Uśmiech w lustrze» czytałem po raz trzeci.

Strasznie cynicznie się dzisiaj uśmiecham.

A Twój wiersz o «Twoim uśmiechu» jest... fantastyczny!!!

Radio «gra». Kocie piski grajków udzielają wszystkim nerwowego «tiku». «Muzyka» sprowadza na twarz

sluchaczy głupawy uśmiech lub błogi grymas ciemnego zachwytu.

Za to wieczorem, po zgaszeniu światła, słuchamy «Radio Andorry».

Przy stole odchodzi pokier. Toczą się srebrne szylingówki. Dzwonią «sixpency». Pobrzękują «pieniaki».

Romek siedzi na ławce przy drugim stole i niedbale prasuje jakieś części garderoby elektrycznym żelazkiem.

Dzisiaj mamy wolne.

Czy dostałeś mój list?

Czy byłeś w Montforze?

«Panowie! czas na podwieczorek».

«Już jest jeden/dziewięć — Romek! — zaraz będzie dwa szylingi»...

Za dwa tygodnie urlop — długi — dwutygodniowy urlop. Wezmę ze sobą rower i zabawię się w «vaga-bundo».

Mamy teraz sporo pracy, bo niedługo egzamin.

Ciekaw jestem, jak przyjęliście we Francji wiadomość o «Ve Day».

Słuchaj stary — masz rację — «dość egotycznych już liryzmów» ale powiedz szczerze jak myślisz? czy z tej naszej Emigracji coś będzie, czy już nigdy?

Czytam milusie artykuły o naszym tutejszym bractwie, o tych «Poles» sypiących piasek do wazeliny międzynarodowej i widzę coraz wyraźniej, że nam brak jest ludzi silnych — silnych i mądrych.

Potem pogadamy, bo już naprawdę czas na podwieczorek.

Jak Ci się podoba «Warsaw Concerto»?

Ściskam Cię serdecznie

(—) Andrzej B. M.

Rozmowy z Czytelnikami

Prawie każda poczta przynosi nam kilka lub kilkanaście listów. Na czasopismo jest to dużo. Przychodzą listy nie tylko z Francji, ale i z Belgii, ze Szwajcarii, z Anglii, z Włoch i Afryki. Że jest ich dużo — świadczy chociażby odpowiedzi redakcji w niniejszym numerze.

Cieszymy się z tego, bo świadczy to o tym, że pismo było i jest potrzebne, że coraz bardziej wrasta w teren, że coraz bardziej zaciągają się nici sympatii między Czytelnikami a redakcją, coraz bardziej pismo zaczyna być redagowane przez Czytelników. Ponad 50 proc. materiałów do numeru niniejszego nadesłali Czytelnicy i o konkurs ogłoszony obecnie prosili też oni.

Zbiore obecnie w skrócie parę opinii i uwag, co przypuszczam, pozwoli jeszcze bardziej na zbliżenie i wzajemne zrozumienie obu stron: Czytelnika i Redakcji.

«Za mało wierszy» piszą jedni. «Nigdzie ich nie ma tak dużo jak u Was» — pisze deportowana studentka z Warszawy, «ale to jeszcze mało. Jak przyjemnie sobie przeczytać dobry wiersz. Człowiek odpoczywa».

«Śmieszne będzie to, co napiszę, ale najbardziej w „Razem” podoba mi się to, że jest tu taki fantastyczny groch z kapustą. Każdy w nim coś znajduje, dosłownie każdy. Wystarczy zobaczyć naszą świetlicę».

Nauczycielstwo z wielu stron Francji i Księża piszą tak miło i ze szczerym uznaniem (że aż boimy się to podawać, by nie narazić się na zarzut autoreklamy), że «pismo to jest tym, czego brak odczuwano dawno na terenie Francji».

Pewien czytelnik żali się że już dość czasu upłynęło od ostatniego umieszczenia nut w «Razem». Że rzeczy te się podobają i są potrzebne do kominków, czy rewij. Zapytanie o nowe piosenki kierujemy do naszego nad-

wornego kompozytora Genia, który już dość długo i wytrwale je obiecuje. Inny Czytelnik chciałby częściej widzieć rozrywki umysłowe w «Razem», a pewna rezolutna harcerka: fotografie. Wszystkich, przysyłających swe utwory do oceny przepraszamy już z góry, że ze względu na szczupły (ilościowo — bo tak jest dość grubo) personel redakcji nie odpowiadamy na te listy zbyt szybko.

Krótkie to, zamieszczane od czasu do czasu, podsumowanie opinii i uwag, pomoże w redagowaniu następnych numerów, a wielu utytułowanym i ustosunkowanym krytykom «zamknąć buzię». «Razem» — to nie «Wiadomości Literackie». Przy redagowaniu «Razem» pomagają Czytelnicy, ich listy, ich opinie, a nie «fumu» osobiste niezadowolonych ze wszystkiego osób.

J.

odpowiedzi redakcji

Rozwiązanie ostatniego konkursu rozrywek umysłowych.

Z nadesłanych trafnych rozwiązań rozrywek umysłowych drogą losowań nagrody otrzymali: pp. Irena Drejzin RAF Anglia, Helena Kułuków Echirolles, Franciszek Pieczka Montfaucon i Ryszard Grudziński, Grenoble.

Pani H. Szosak — Polski Szpital Wojskowy, Włochy. — Serdecznie dziękujemy. «Razem» będziemy stale wysyłać. List w drodze.

Kol. Z., Villard de Lans. — Za list i korespondencję dziękujemy. Zamieszczamy i prosimy o więcej. Prosimy o dokładne podawanie pogramu i nazw poszczególnych numerów.

Pani A. Flith, Giraumont. — Za miłe słowa dziękujemy. Zamieszczalibyśmy więcej poezji, ale nie wszyscy Czytelnicy są tego zdania. Prosimy o wspomnienia z Warszawy lub z obozu. Chętnie zamieścimy.

Bibliothèque de Documentation Internationale Contemporaine — Université de Paris. — Wysyłamy komplet i z całą przyjemnością będziemy stale wysyłać.

P. W. Draus, Montiers. — Będziemy stale wysyłać. Pismo jest rozsyłane bezpłatnie. Koszty przesyłki pokrywa Y.M.C.A.

P. C. K. — Opieka nad Szpitalami. — Wysyłamy w zmniejszonej ilości egzemplarzy ze względu na mały nakład.

Ks. H. Paruz l, Chaumont. — Otrzymaliśmy, dziękujemy, wykorzystamy. Prosimy o coś bardziej «świeckiego».

P. A. Kowalska, Bagneux. — Za miłe słowa uznania i zachęty dziękujemy. Załatwimy.

P. Z. Czarnicka, Sippes. — Gazetę będziemy przysyłać. Za list dziękujemy. Blankietów Czerwonego Krzyża do korespondencji z Polską nie posiadamy.

P. Wł. Burszta, Lievin. — Za naprawdę miłe słowa serdecznie dziękujemy. Pod wskazany adres wysyłamy. Ś. p. Szczesna i W. Conti zginęli w zeszłym roku w Nicei w czasie bombardowania.

P. J. Drejzin, RAF. — Rozwiązanie dobre. Gazetę wysyłamy.

P. T. Skórzewska. — Artykuł idzie. Numery wysyłamy. Prosimy o coś więcej. Całuję rączki.

Kol. M. Nowicki, Lille. — Jedno zdjęcie z kantyny YMCA idzie — reszta za ciemne. Prosimy o reportaż.

P. St. Hulanicka, Pau. — Kartkę otrzymaliśmy dopiero niedawno. Sza! niesamowicie długo i szukała adresata w trzech miejscach. Załatwimy wkrótce.

P. A. Dzwonek, Sermaize les Bains. — Wysyłamy «Razem». Inne materiały wkrótce.

Kol. W. Nasiłowski, Lyon. — Otrzymaliśmy — idzie. List w drodze.

Kol. J. Potiszil, Paryż. — Prejensje trochę nieuzasadnione. Ostatnio nic nowego nie otrzymaliśmy.

Kol. J. Gulczyński, Nîmes. — List otrzymaliśmy. Wymówki nieuzasadnione. wytłumaczyliśmy ustnie Dyrektorowi. W zeszłym numerze poszło, prosimy o stałe korespondencje. Czołem.

P. J. Małeck, Montluçon. — Fragmenty dobre, narazie odłożymy na później. Prosimy o więcej.

Ks. H. Dalkowski, Chevilly. — Dziękujemy. Załatwione.

P. J. Kowalska, Monplaisir. — Za miłe słowa i pozdrowienia dziękujemy. Wysyłamy.

P. M. Rawicz, Lardenne. — Dziękujemy, ale nadesłany sonet nie jest sonetem (forma), w reszcie wierszy myśl jest przygniecioną piętrzącymi się rymami. Prosimy pisać więcej, ale nie «c. d. n.» — odrazu.

P. M. Nawrocka, Lyon. — Wyjaśniamy, że obie książki należą się Koleżance z tytułu rozwiązania trafnych rozwiązań. Zły adres to nasza pomyłka. Odpowiadamy późno, bo list zaginął.

P. Gdula, Le Creusot. — Pismo przekazujemy do Centrali, niestety jesteśmy organizacją męską i nie pracujemy wśród kobiet. Pisma wysyłamy.

P. E. Starzyńska, Brssuire. — Załatwione.

Z. H. P. Rosieres. — Idzie w numerze. Prosimy częściej.

P. F. Krzemińska, Beaclair. — Wysyłamy.

Por. A. Pohl, Hôpital Plant. — To samo. Życzenia wyzdrowienia.

P. Czerkawski, Boulogny. — Dziękujemy za miłe słowa uznania. Wysyłamy.

Ks. E. Kaczmarek, Flavigny. — Z miłą chęcią. Wysyłamy. O książki postaramy się. Pozdrowienia.

P. St. Gierczak, La Chapelle. — Wysyłamy. Pismo jest bezpłatne.

Ks. J. Obarski, Barlin. — W sprawie papieru odpowie Centrala.

P. M. Bugara, St. Clement. — Rozwiązanie nie było trafne, niestety. Przekazany datek przesłaliśmy gdzie trzeba...

P. B. Skiera, Angoulême. — Chętnie wysyłamy dla Pana i kolegów. Cześć.

P. M. Amboziak, Mont Bouvilliers. — Niestety nie mamy materiału dla dzieci — nie zajmujemy się dziećmi, tylko młodzieżą i starszymi.

Związek Polaków, Montceau les Mines — 2 komplety wysyłamy. Stale będziemy wysyłać po 30 egz., bo nakład jest nieduży.

P. Mierzejewski, St. Cast. — Przesłany materiał p. Urbanowicz już wydrukowaliśmy w poprzednim numerze. «Razem» wysyłamy. W sprawach obozu — list przekazaliśmy Centrali.

Ks. J. Gocki, Wingles. — Za zdjęcia dziękujemy. Zamieścimy część. «Razem» wysyłamy.

P. W. Bochenek, Rethel — Dziękujemy. Jeden wiersz wykorzystujemy. Prosimy o więcej.

P. S. Chełmiński, Le Magny. — Wysyłamy. Cieszymy się, że pismo się tam podoba.

P. Ziemia, La Machine. — Dziękujemy za słowa zachęty i uznania. Stale wysyłamy.

P. J. Łabos, St. Savin. — Serwus Jasiu! Wysyłamy. Napisz coś o sobie. Uśmiechnij się. Jędrak.

Ks. M. Łapiński, Oignies — Materiały do odczytów wysyłamy. Dziękujemy za miłe słowa.

P. J. Bujko, Pargny. — Dziękujemy. Gazetę wysyłamy — książkę narazie nie mamy.

P. J. Zaleski, Gouvin. — Gazetę wysyłamy w ilości 10 egz., bo nakład jest mały. Innych materiałów narazie nie mamy na składzie.

P. M. Makowówna, Haillcourt. — Wysyłamy. Pomocy szkolnych nie mamy na składzie.

Por. Nycz, La Fontaine du Berger. — Wysyłamy «Razem» i inne polskie gazety. Zwiększamy ilościowo przesyłkę.

Ze względu na brak miejsca nie zamieszczamy wszystkich odpowiedzi redakcji.